Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,
A więc krzyknął: Panowie, po grzyby do boru!
Kto z najpięknieyszym rydzem do stołu przybędzie,
Ten obok najpiękniejszéj Panienki usiędzie;
Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama,
Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama.

Księga Trzecia.


Ex Libris
BIBLJOTEKI MIEJSKIEJ
1903 w Bydgoszczy 1928

Druk bardzo rzadki!
Posiada go tylko bibl. Rapperswilska
[illegible] 1865.

PAN TADEUSZ.

Dosłowne wydanie **Paryzkiej** edycyi
z roku 1834.

Pan TADEUSZ

czyli

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historja szlachecka

zr. 1811 i 1812,

WE DWUNASTU KSIĘGACH, WIERSZEM,

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM PIERWSZY.

TORUŃ, 1859.

Nakładem i drukiem **Ernesta Lambecka.**

Księga Piérwsza.

GOSPODARSTWO.

TREŚĆ.

Powrót panicza — Spotkanie się piérwsze w pokoiku, drugie u stołu — Ważna Sędziego nauka o grzeczności — Podkomorzego uwagi polityczne nad modami — Początek sporu o Kusego i Sokoła — Żale Wojskiego — Ostatni Woźny Trybunału — Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy.

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całéj ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co jasnéj bronisz Częstochowy
I w Ostréj świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącéj matki, pod Twoję opiekę

Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu;)
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.
Tymczasem przenoś moję duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rosciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitém,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane jabky wstęgą, miedzą
Zieloną, na niéj zrzadka ciche grusze siedzą.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świéciły się zdaleka pobielane ściany,
Tém bielsze że odbite od ciemnéj zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrôw jesieni.
Dom mieszkalny niewielki lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niéj trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się niemoże;
Widać że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów

Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów
Orzących wcześnie łany ogromne ugoru
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwókonną bryką wjechał młody panek
I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek,
Wysiadł s powozu; konie porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami, i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać,
Dawno domu niewidział; bo w dalekiém mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
S któremi się zabawiać lubił od powicia;
Lecz mniéj wielkie, mniéj piękne niż się dawniéj zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały.
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiéj, z oczyma

Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi s Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Daléj w polskiéj szacie
Siedzi Rejtan żałośny po wolnoście stracie,
W ręku trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Daléj Jasiński młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak towarzysz jego nieodstępny
Stoją na szańcach Pragi, na stosach moskali
Siekąc wrogów a Praga już się w koło pali.
Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianéj szafie poznał, u wniścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszyć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty
Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice
Po ścianach; w téj komnacie mieszkanie kobiéce?
Któżby tu mieszkał? stary stryj niebył żonaty;
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
To niebył ochmistrzyni pokoj? Fortepiano?
Na niém noty, i książki; wszystko porzucano
Niedbale i bezładnie; nieporządek miły!

Niestare były rączki co je tak rzuciły.
Tuż i sukienka biała, świeżo s kołka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczu rospięta.
A na oknach donice s pachnącemi ziołki,
Gieranium, lewkonia, astry i fijołki.
Podróżny stanął w jedném z okien — nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą
Był maleńki ogródek ścieszkami porznięty,
Pełen bukietów trawy angielskiéj i mięty.
Drewniany drobny w cyfrę powiązany płotek
Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.
Grządki widać że były świeżo polewane;
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
Ale nigdzie niewidać było ogrodniczki;
Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzwiczki
Świeżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku, bez trzewika była i pończoszki,
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu;
Ślad wyraźny lecz lekki, odgadniesz że w biegu
Chybkim był zostawiony nożkami drobnemi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,
Wonnemi powiewami kwiatów oddychając,
Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,

Oczyma ciekawemi po drożynach gonił,
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,
Myślał o nich i czyje były odgadywał.
Przypadkiem oczy podniosł, i tuż na parkanie
Stała młoda dziewczyna — białe jéj ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.
W takiém Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
W takiém nigdy niebywa od męczyzn widziana;
Więc choć świadka niemiała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku
Świecił się, jak korona na świętych obrasku.
Twarzy niebyło widać, zwrócona na pole
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;
Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
Jak biały ptak zleciała s parkanu na błonie,
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,
I po desce opartéj o ścianę komnaty,
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,
Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.
Nócąc chwyciła suknie, biegła do zwierciadła;
W tém ujrzała młodzieńca i z rąk jéj wypadła

Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,
Jak obłok gdy z jutrzenką napotka się ranną;
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,
Chciał coś mówić, przepraszać, tylko się ukłonił
I cofnął się; dziewica krzyknęła boleśnie,
Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;
Podróżny zląkł się, spojrzał, lecz już jéj niebyło,
Wyszedł zmieszany i czuł że serce mu biło
Głośno, i sam niewiedział czy go miało śmieszyć
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzić, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nieuszło baczności,
Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.
Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano
Jako w porządnym domu i obrok i siano:
Bo Sędzia nigdy niechciał, według nowéj mody,
Odsyłać konie gości żydom do gospody.
Słudzy niewyszli witać, ale niemyśl wcale
Aby w domu Sędziego służono niedbale;
Słudzy czekają nim się Pan Wojski ubierze,
Który teraz za domem urządzał wieczerzę.
On Pana zastępuje i on w niebytności
Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości;
(Daleki krewny pański i przyjaciel domu).

Widząc gościa na folwark dążył pokryjomu;
(Bo niemógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie,)
Wdział więc jak mógł najprędzéj niedzielne ubranie
Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,
Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.

Pan Wojski poznał zdala, ręce roskrzyżował
I s krzykiem podróżnego ściskał i całował;
Zaczęła się ta prętka, zmieszana rozmowa,
W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,
Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.
Gdy się Pan Wojski dosyć napytał, nabadał,
Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

„Dobrze mój Tadeuszu,“ (bo tak nazywano
Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził,)
„Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.
Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele;
Jest s czego wybrać; u nas towarzystwo liczne
Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,
Dla skończenia dawnego s Panem Hrabią sporu,
I Pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;

Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.
Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,
A starzy i kobiety żniwo oglądają
Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.
Pójdziemy jeśli zechcesz, i wkrótce spotkamy
Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy.“

Pan Wojski s Tadeuszem idą pod las drogą
I jeszcze się dowoli nagadać niemogą.
Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,
Mniéj silnie ale szerzéj niż we dnie świeciło,
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze
Na spoczynek powraca: już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok mglisty
Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;
I bór czernił się naksztalt ogromnego gmachu,
Słońce nad niém czerwone jak pożar na dachu;
Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez konary
Błysnęło, jako świeca przez okienic szpary,
I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
We zbożach, i grabliska suwane po łące,
Ucichły i stanęły: tak Pan Sędzia każe,
U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.

„Pan świata wié jak długo pracować potrzeba;
„Słońce Jego robotnik kiedy znidzie z nieba,
„Czas i ziemianinowi ustępować s pola.“
Tak zwykł mawiać Pan Sędzia; a Sędziego wola
Była Ekonomowi poczciwemu świętą,
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły;
Cieszą się z niezwyczajnéj ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,
Wesoło lecz w porządku; naprzód dzieci małe
Z dozorcą, potem Sędzia szedł s Podkomorzyną,
Obok pan Podkomorzy otoczon rodziną;
Panny tuż za starszemi, a młódzież na boku;
Panny szły przed młodzieżą o jakie pół króku,
(Tak każe przyzwoitość) nikt tam nie rosprawiał
O porządku, nikt męsczyzn i dam nie ustawiał,
A każdy mimowolnie porządku pilnował.
Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,
I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu
Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu;
Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,
Z jego upadkiem domy i narody giną.
Wię do porządku wykli domowi i słudzy;
I przyjezdny gość, krewny albo człowiek cudzy

Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,
Przejmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego s synowcem witania,
Dał mu poważnie rękę do pocałowania
I w skroń ucałowawszy uprzejmie pozdrowił;
A choć przez wzgląd na gości niewiele z nim mówił,
Widać było z łez, które wylotem kontusza
Otarł prędko, jak kochał Pana Tadeusza.

W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru
I z łąk i s pastwisk razem wracało do dworu.
Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy
I wznosi chmurę pyłu; daléj zwolna kroczy
Stado cielic tyrolskich z mosiężnemi dzwonki.
Tam konie rzące lecą ze skoszonéj łąki;
Wszystko bieży ku studni, któréj ramie z drzewa
Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

Sędzia choć utrudzony, chociaż w gronie gości,
Nie chybił gospodarskiéj, ważnéj powinności,
Udał się sam ku studni; najlepiéj z wieczora
Gospodarz widzi w jakim stanie jest obora,
Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy,
Bo Sędzia wié że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni
Stali i rozprawiali nieco poróżnieni,
Bo w niebytność Wojskiego Woźny pokryjomu
Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu,
I ustawić co prędzéj w pośrodku zamczyska,
Którego widne były pod lasem zwaliska.
Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił
I przepraszał Sędziego; Sędzia się zadziwił,
Lecz stało się; już późno i trudno zaradzić,
Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.
Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył,
Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył;
We dworze żadna izba nie ma obszerności
Dostatecznéj dla tylu, tak szanownych gości,
W zamku sień wielka jeszcze dobrze zachowana,
Sklepienie całe — wprawdzie pękła jedna ściana,
Okna bez szyb, lecz latem nic to nie zawadzi;
Bliskość piwnic wygodna służącéj czeladzi.
Tak mówiąc, na Sędziego mrugał; widać z miny,
Że miał i taił inne ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
Okazały budową, poważny ogromem,
Dziedzictwo starożytnéj rodziny Horeszków;
Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszków.

Dobra całe zniszczone sekwestrami rządu,
Bezładnością opieki, wyrokami sądu,
W cząstce spadły dalekim krewnym po kądzieli,
A resztę rozdzielono między wierzycieli.
Zamku żaden wziąść nie chciał, bo w szlacheckim
stanie
Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie;
Lecz Hrabia sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,
Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,
Przyjechawszy z wojażu upodobał mury
Tłumacząc, że gotyckiéj są architektury;
Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tém,
Że Architekt był majstrem z Wilna nie zaś Gotem.
Dość że Hrabia chciał zamku, właśnie i Sędziemu
Przyszła nagle taż chętka, nie wiadomo czemu.
Zaczęli proces w ziemstwie, potém w głównym sądzie,
W senacie, znowu w ziemstwie i w guberskim rządzie;
Wreszcie po wielu kosztach, i ukazach licznych,
Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał że w zamkowéj sieni
Zmieści się i palestra i goście proszeni.
Sień wielka jak refektarz, z wypukłém sklepieniem
Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,
Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi;

Sterczały wkoło sarnie i jelenie rogi
Z napisami: gdzie, kiedy te łupy zdobyte;
Tuż myśliwców herbowne klejnoty wyryte,
I stoi wypisany każdy po imieniu;
Herb Horeszków Półkozic jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.
Przy nim stał kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,
Męszczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli,
I chołodziec litewski milcząc żwawo jedli.

Pan Tadeusz choć młodzik, ale prawem gościa,
Wysoko siadł przy damach obok Jegomościa;
Między nim i stryjaszkiem jedno pozostało
Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.
Stryj nie raz na to miejsce i na drzwi poglądał,
Jakby czyjegoś przyjścia był pewny i żądał.
I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,
I z nim na miejscu pustém oczy swe osadzał.
Dziwna rzecz! miejsca w koło są siedzeniem dziewic,
Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,

Wszystkie zacnie zrodzone, każda młoda, ładna;
Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna
To miejsce jest zagadką, młodź lubi zagadki;
Rostargniony, do swojéj nadobnéj sąsiadki
Ledwo słów kilka wyrzekł do Podkomorzanki,
Nie zmienia jéj talerżów, nie nalewa szklanki,
I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,
S którychby wychowanie poznano stołeczne;
To jedno puste miejsce nęci go i mami,
Już niepuste, bo on je napełnił myślami.
Po tém miejscu biegało domysłów tysiące,
Jako po deszczu żabki po samotnéj łące;
Śród nich jedna królóje postać, jak w pogodę
Lilia jezior skroń białą wznosząca nad wodę.

Dano trzecią potrawę. W tém pan Podkomorzy,
Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,
A młodszéj przysunąwszy s talerzem ogórki,
Rzekł: „Muszę ja wam służyć, moje panny córki,
Choć stary i niezgrabny.“ Zatém się rzuciło
Kilku młodych od stołu i pannom służyło.
Sędzia z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
Nalał węgrzyna i rzekł: „Dziś nowym zwyczajem,
My na naukę młodzież do stolicy dajem,

I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
Mają od starych więcéj książkowéj nauki,
Ale co dzień postrzegam jak młodź cierpi na tém,
Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem;
Dawniéj na dwory pańskie jechał szlachcic młody,
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody
Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,
(Mówiąc Podkomorzemu ścisnął za kolana);
On mnie radą do usług publicznych sposobił,
Z opieki nie wypuścił aż człowiekiem zrobił.
W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
Co dzień za duszę jego proszę Pana Boga.
Jeżlim tyle na jego nie korzystał dworze
Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
Gdy inni więcéj godni Wojewody względów
Doszli potém najwyższych krajowych urzędów,
Przynajmniéj tom skorzystał, że mi w moim domu
Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu,
W uczciwości, w grzeczności; a ja powiem śmiało,
Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.
Niełatwą, bo nie na tém kończy się, jak nogą
Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;
Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka
Ale nie staropolska, ani też szlachecka.
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;

Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i Pana
Dla sług swoich, a w każdéj jest pewna odmiana.
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinną uczciwość wyrządzić.
I starzy się uczyli; u Panów rozmowa,
Była to historja żyjąca krajowa,
A między szlachtą dzieje domowe powiatu:
Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,
Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;
Więc szlachcic obyczaje swe trzymał pod strażą.
Dziś człowieka nie pytaj: co zacz? kto go rodzi?
S kim on żył, co porabiał? każdy gdzie chce wchodzi,
Byle nie szpieg rządowy, i byle nie w nędzy.
Jak ów Wespazjanus nie wąchał pieniędzy,
I nie chciał wiedzieć skąd są, z jakich rąk i krajów;
Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!
Dość że ważny i że się stępel na nim widzi,
Więc szanują przyjaciół jak pieniądze żydzi.“

To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem;
Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,
Wiedział, że niecierpliwa młodzież teraźniejsza,
Że ją nudzi rzecz długa choć najwymowniejsza.
Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiém;

Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem,
Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,
Ale częstém skinieniem głowy potakiwał.
Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwalał;
Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał,
I daléj mówił: „Grzeczność nie jest rzeczą małą:
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:
Jak na szalach żebyśmy nasz ciężar poznali,
Musim kogoś posadzić na przeciwnéj szali.
Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnéj
Grzeczność, ktorą powinna młodź dla płci nadobnéj;
Zwłaszcza gdy zacność domu, fortuny szczodroty,
Objaśniają wrodzone wdzięki i przymioty.
Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy
Wspaniały domów sojusz — tak myślili starzy.
A zatém" — Tu Pan Sędzia nagłym zwrotem głowy
Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy,
Znać było że przychodził już do wniosków mowy.

W tém brząknął w tabakierę złotą Podkomorzy,
I rzekł: „Mój Sędzio, dawniéj było jeszcze gorzéj!
Teraz niewiém czy moda i nas starych zmienia,
Czy młodzież lepsza, ale widzę mniéj zgorszenia.

Ach ja pamiętam czasy, kiedy do Ojczyzny
Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny!
Gdy raptem paniczyki młode s cudzych krajów
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
Prześladując w Ojczyźnie Boga, przodków wiarę,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
Żałośnie bylo widzieć wyżółkłych młokosów,
Gadających przez nosy, a często bez nosów,
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,
Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza;
Bo Pan Bóg kiedy karę na naród przepuszcza,
Odbiéra naprzód rozum od Obywateli.
I tak, mędrsi fircykom oprzéć się nie śmieli,
I zląkł ich się jak dżumy jakiéj cały naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród;
Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory:
Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.
Była to maszkarada, zapustna swawola,
Po któréj miał przyjść wkrótce wielki post—niewola!

„Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziécie,
Kiedy do ojca mego w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał Pan Podczaszyc na francuskim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.

Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stanęła Podczaszyca dwókolna dryndulka,
Która się po francusku zwała karjulka.
Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach niemczysko chude nakształt deski;
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnemi klamrami trzewiki,
Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopi żegnali się, mówiąc: że po świecie
Jeździ wenecki djabeł w niemieckiéj karecie
Sam Podczaszyc jaki był opisywać długo,
Dosyć że się nam zdawał małpą lub papugą
W wielkiéj peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest niż obcéj mody małpowanie,
Milczał; bo by krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza!
Taka była przesądów owoczesnych władza!

„Podczaszyc zapowiedział że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować;
Ogłosił nam, że jacyś francuzi wymowni

Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi.
Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawną była, szło o jéj pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuskiéj gazecie.
Podczaszyc mimo równość wziął tytuł Markiża;
Wiadomo że tytuły przychodzą s Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł Markiża.
Jakoż kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam Markiż przybrał tytuł Demokraty;
Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał s Paryża Baronem;
Gdyby żył dłużéj, może nową alternatą,
Z Barona przechrzciłby się kiedyś Demokratą.
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

„Chwała Bogu, że teraz jeśli nasza młodzież
Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,
Nie szukać prawodastwa w drukarskich kramarniach,
Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.
Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,
Nie daje czasu szukać mody i gawędki.

Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,
Że znowu o Polakach tak na świecie głośno;
Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!
Zawzdy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.
Tylko smutno, że nam ach! tak się lata wleką
W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!
Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina —
Ojcze Robaku (ciszéj rzekł do Bernardyna)
Słyszałem, żeś z za Niemna odebrał wiadomość;
Może téż co o naszém wojsku wié Jegomość?"
— „Nic a nic" odpowiedział Robak obojętnie,
(Widać było że słuchał rozmowy niechętnie)
Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy
Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy
Bernardyńskie, cóż o tém gadać u wieczerzy;
Są tu świeccy do których nic to nie należy."

Tak mówiąc, spojrzał zyzem, gdzie śród biesiadników
Siedział gość Moskal; był to pan kapitan Ryków,
Stary żołnierz, stał w bliskiéj wiosce na kwaterze,
Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.
Rykow jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,
Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniosłszy głowę:

„Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy
O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!
He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a popolsku umiem, —
Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!
Wy Polaki, ja Ruski, teraz się nie bijem,
Jest armistycjum, to my razem jemy, pijem,
Często na awanpostach nasz s francuzem gada,
Pije wódkę; jak krzykną ura! — kanonada.
Ruskie przysłowie: 's kim się biję, tego lubię;
Gładź drużkę jak po duszy, a bij jak po szubie,
Ja mówię, będzie wojna u nas. Do Majora
Płuta Adjutant Sztabu przyjechał zawczora:
Gotować się do marszu! Pójdziem, czy pod Turka,
Czy na Francuza; oj ten Bonapart figurka!
Bez Suwarowa to on może nas wytuza.
U nas w pułku gadano, jak szli na francuza,
Że Bonapart czarował, no, tak i Suwarów
Czarował; tak i były czary przeciw czarów.
Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta,—
A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta,
Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
Daléj drzéć pazurami, a Suwarów w kuca.
Obaczcież co się stało w końcu z Bonapartą“ —
Tu Ryków przerwał i jadł; wtém s potrawą czwartą
Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba przystojna i młoda;
Jéj zjawienie się nagłe, jéj wzrost i uroda,
Jéj ubior, zwrócił oczy, wszyscy ją witali,
Prócz Tadeusza widać że ją wszyscy znali.
Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,
Suknię materjalną różową jedwabną,
Gors wycięty, kołnierzyk s korónek; rękawki
Krótkie, w ręku kręciła wachlarz dla zabawki
(Bo nie było gorąca), wachlarz pozłocisty
Powiewając rozlewał deszcz iskier rzęsisty.
Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,
W pukle, i przeplatane różowemi wstęgi,
Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,
Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu,
Słowem ubior galowy; szeptali nie jedni,
Że zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.
Nóżek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,
Bo biegła bardzo szybko, suwała się raczéy
Jako osóbki, które na trzykrólskie święta
Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.
Biegła i wszystkich lekkim witając ukłonem,
Chciała usieść na miejscu sobie zostawioném.
Trudno było; bo krzeseł dla gości nie stało,
Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało,
Trzeba było rzęd ruszyć lub ławę przeskoczyć;

Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,
A potém między rzędem siedzących i stołem,
Jak bilardowa kula toczyła się kołem,
W biegu dotknęła blisko naszego młodziana;
Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana
Pośliznęła się nieco, i wtém roztargnieniu
Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu.
Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swém siadła
Pomiędzy nim i stryjem, ale nic nie jadła;
Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek
Kręciła, to kołnierzyk z brabanckich koronek
Poprawiała, to lekkiém dotknieniem się ręki
Muskała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.
Tymczasem, w końcu stoła naprzód ciche szmery,
A potém się zaczęły wpółgłośne rozmowy;
Męszczyźni rozsądzali swe dzisiejsze łowy.
Assesora z Rejentem wzmogła się uparta,
Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,
Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił
I utrzymywał, że on zająca pochwycił;
Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,
Że ta chwała należy chartu Sokołowi.
Pytano zdania innych; więc wszyscy dokoła

Brali stronę Kusego albo też Sokoła,
Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.
Sędzia na drugim końcu do nowéj sąsiadki
Rzekł półgłosem: przepraszam, musieliśmy siadać,
Niepodobna wieczerży na późniéj odkładać,
Goście głodni, chodzili daleko na pole,
Myśliłem że dziś z nami nie będziesz przy stole.
To rzekłszy, s Podkomorzym przy pełnym kielichu
O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,
Tadeusz przyglądał się nieznanéj osobie;
Przypomniał że za pierwszem na miejsce wejrzeniem
Odgadnął zaraz, czyjém miało być siedzeniem.
Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie;
Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!
Więc było przeznaczono, by przy jego boku
Usiadła owa piękność widziana w pomroku;
Wprawdzie zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,
Bo ubrana, a ubior powiększa i zmniejsza.
I włos u tamtéj widział krótki, jasnozłoty,
A u téj krucze długie zwijały się sploty?
Kolor musiał pochodzić od słońca promieni
Któremi przy zachodzie wszystko się czerwieni.
Twarzy w ów czas niedostrzegł, nazbyt rychło znikła,

Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła;
Myślił że pewnie miała czarniutkie oczęta,
Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta;
U téj znalazł podobne oczy, usta, lica;
W wieku możeby była największa różnica:
Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,
A Pani ta niewiastą już w latach dojrzałą;
Lecz młodzież o piękności metrykę niepyta,
Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobiéta,
Chłopcowi każda piękność zda się rowiennicą,
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Tadeusz chociaż liczył lat blisko dwadzieście,
I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiém mieście;
Miał za dozorcę księdza który go pilnował
I w dawnéj surowości prawidłach wychował.
Tadeusz zatém przywiozł w strony swe rodzinne
Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;
Ale razem nie małą chętkę do swywoli.
Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli
Używać na wsi, długo wzbronionéj swobody;
Wiedział, że był przystojny, czuł się rześki, młody;
A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.
Nazywał się Soplica; wszyscy Soplicowie

Są jak wiadomo krzepcy, otyli i silni,
Do żołnierki jedyni, w naukach mniéj pilni.

Tadeusz się od przodków swoich nieodrodził,
Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,
Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,
Choć stryj na wychowanie niczego nieskąpił.
On wolał z flinty strzelać, albo szablą robić;
Wiedział że go myślano do wojska sposobić,
Że Ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
Ustawicznie do bębna tęsknił siedząc w szkole.
Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,
Kazał aby przyjechał i aby się żenił,
I objął gospodarstwo; przyrzekł na początek
Dać małą wieś, a potém, cały swòj majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety
Sciągnęły wzrok sąsiadki, uważnéj bobiety.
Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,
I w twarz spojrzała, s której wytryskał rumieniec,
Ilekróć z jéj oczyma spotkał się młodzieniec:
Bo s pierwszéj lękliwości całkiem już ochłonął,
I patrzył wzrokiem śmiałym w którym ogień płonął,
Również patrzyła ona, i cztery źrenice
Gorzały przeciw sobie jak roratne świéce.

Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę;
Wracał z miasta, ze szkoły; więc o książki nowe,
O autorów pytała Tadeusza zdania,
I ze zdań wyciągała na nowo pytania;
Cóż gdy potém zaczęła mówić o malarstwie,
O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie!
Dowiodła że zna równie pędzel, noty, druki;
Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki,
Lękał się, by niezostał pośmiewiska celem,
I jąkał się jak żaczek przed nauczycielem.
Szczęściem, że nauczyciel ładny i niesrogi:
Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,
Wszczęła rzecz o mniéj trudnych i mądrych przed-
miotach,
O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,
I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,
By życie uprzyjemnić i wieś rozweselić.
Tadeusz odpowiadał śmieléj, szła rzecz daléj,
W półgodziny iuż byli s sobą poufali;
Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.
W końcu, stawiła przed nim trzy s chleba gałeczki,
Trzy osoby na wybor; wziął najbliższą sobie;
Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie,
Sąsiadka zaśmiała się, lecz niepowiedziała
Kogo owa szczęśliwsza gałka oznaczała.

Inaczéj bawiono się w drugim końcu stoła,
Bo tam wzmogłszy się nagle stronnicy Sokoła,
Na partyę Kusego bez litości wsiedli:
Spór był wielki, już potraw ostatnich niejedli.
Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,
A najstraszniéj Pan Rejent był zacietrzewiony,
Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoję tokował
I gestami ją bardzo dobitnie malował.
(Był dawniéj adwokatem Pan Rejent Bolesta,
Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta.)
Teraz ręce przy boku miał, w tył wygiął łokcie,
S pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,
Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem,
Właśnie rzecz kończył. „Wyczha, puściliśmy razem
Ja i Assessor, razem, jakoby dwa kórki
Jednym palcem spuszczone u jednéj dwórórki;
Wyczha, poszli, a zając jak stróna, smyk w pole,
Psy tuż, (to mówiąc ręce ciągnął wzdłuż po stole
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał)
Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał;
Sokoł smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec,
Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec,
Wiedziałem że spudłuje; szarak gracz nielada,
Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada;
Gracz szarak! skoro poczuł wszystkie charty w kupie,

Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,
Psy za nim fajt na lewo, on w las, a mój Kusy
Cap!! „Tak krzycząc Pan Rejent na stół pochylony,
S palcami swemi zabiegł aż do grugiéj strony,
I „Cap!“ Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem;
Tadeusz i sąsiadka tym głosu wybuchem
Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,
Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy:
Jako wierzchołki drzewa powiązane społem
Gdy je wicher rozerwie; i ręce pod stołem
Blisko siebie leżące wstecz nagle uciekły,
I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.

Tadeusz by niezdradzić swego rostargnienia,
Prawda rzekł mój Rejencie, prawda, bez wątpienia
Kusy piękny chart s kształtu, jeśli równie chwytny...
Chwytny? krzyknął Pan Rejent, mój pies faworytny
Żeby niemiał być chwytny? Więc Tadeusz znowu
Cieszył się, że tak piękny pies niéma narowu,
Żałował że go tylko widział idąc z lasu,
I że przymiotów jego poznać niémiał czasu.

Na to zadrżał Assessor, puścił z rąk kieliszek,
Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliszek.
Assessor mniéj krzykliwy i mniéj był ruchawy

Od Rejenta, szczuplejszy i mały s postawy,
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,
Bo powiadano o nim, ma żądło w języku.
Tak dowcipne żarciki umiał komponować,
Iżby je w kalendarzu można wydrukować:
Wszystkie złośliwe, ostre. Dawniéj człek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek bratni,
Wszystko strwonił na wielkim figurując świecie;
Teraz wszedł w służbę rządu by znaczyć w powiecie.
Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,
Już to że odgłos trąbki i widok obławy,
Przypominał mu jego lata młodociane,
Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane;
Teraz mu s całéj psiarni dwa charty zostały,
I jeszcze s tych jednemu chciano przeczyć chwały.
Więc zbliżył się i zwolna gładząc faworyty,
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
„Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu,
Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu,
A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?
Z resztą zdać się możemy na sąd Pańskiéj cioci.
Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy
I bawi się niedawno w naszéj okolicy,
Lepiéj zna się na łowach niż myśliwi młodzi:
Tak to nauka sama z latami przychodzi.“

Tadeusz na którego niespodzianie spadał
Grom taki, wstał zmieszany, chwilę nic niegadał,
Lecz patrzył na rywala coraz straszniéj, srożéj...
W tém, wielkiém szczęściem dwakroć kichnął Podkomorzy,
„Wiwat“ krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił,
I zwolna w tabakierę palcami zadzwonił:
Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,
A wśrodku jéj był portret króla Stanisława.
Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował,
Gdy w nię dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać;
Umilkli wszyscy i ust nieśmieli otwierać.
On rzekł: „Wielmożni Szlachta Bracia Dobrodzieje,
Forum myśliwskiém tylko są łąki i knieje,
Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,
I posiedzenie nasze na jutro solwuję.
I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę;
Woźny! odwołaj sprawę, na jutro na pole,
Jutro i Hrabia s całém myśliwstwem tu zjedzie,
I Waszeć z nami ruszysz Sędzio mój sąsiedzie,
I Pani Telimena i Panny i Panie,
Słowem zrobim na urząd wielkie polowanie;
I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi.“
To mówiąc tabakierę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział,
Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
Bo nikt lepiéj nad niego nie znał polowania.
On milczał, szczyptę wziętą s tabakiery ważył
W palcach, i długo dumał nim ją w końcu zażył,
Kichnął aż cała izba rozległa się echem,
I potrząsając głową rzekł z gorzkim uśmiechem:
„O jak mnie to starego i smuci i dziwi!
Cóżbyto o tém starzy mówili myśliwi?
Widząc że w tylu szlachty, w tylu panów gronie,
Mają sądzić się spory o charcim ogonie;
Cóżby rzekł na to stary Rejtan gdyby ożył?
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,
Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
I ma sto wozów sieci w zamku Worończańskim,
A od tylu lat siedzi jak mnich na swym dworze,
Nikt go na polowanie uprosić nie może,
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława! ażeby pan taki
Wedle dzisiejszéj mody jeździł na szaraki.
Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,

Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem
szlacheckim,
A zwierze niemające kłów, rogów, pazurów,
Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów;
Żaden pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki
Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śrót cienki!
Trzymano wprawdzie chartów, bo z łowów wracając,
Trafia się s pod konia mknie się biedak zając,
Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze,
I na konikach małe goniły panicze
Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy
Odwołać swe roskazy, i niech mi wybaczy
Że nie mogę na takie jechać polowanie,
I nigdy na niém noga moja nie postanie!
Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha,
Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha.“

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył,
Wstano od stołu; pierwszy Podkomorzy ruszył,
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,
Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,

Tadeusz Telimenie, Assessor Krajczance,
A pan Rejent na końcu Wojskiéj Hreczeszance.

Tadeusz s kilku gośćmi poszedł do stodoły,
A czuł się pomięszany, zły i niewesoły,
Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki,
Spotkanie się, wieczerzę przy boku sąsiadki,
A szczególniéj mu słowo „Ciocia“, koło ucha
Brzęczało ciągle jako naprzykrzona mucha,
Pragnąłby u Woźnego lepiéj się wypytać
O Pani Telimenie, lecz go niemógł schwytać,
Wojskiego też niewidział, bo zaraz z wieczerzy
Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,
Urządzając we dworze iżby do spoczynku.
Starsi i damy spały we dworskim budynku,
Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano
W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

W półgodziny tak było głucho w całym dworze
Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;
Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.
Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu niezmruża,
Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę
W pole, i w domu przyszłą urządza zabawę.
Dał roskaz ekonomom, wójtom i gumiennym,

Pisarzom, ochmistrzyni, strzelcom i stajennym,
I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać,
Nareszcie rzekł Woźnemu, że sie chce rozbierać.
Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity,
Przy którym świecą gęste kutasy jak kity,
Z jednéj strony złotogłów w purpurowe kwiaty,
Na wywrót jedwab' czarny posrebrzany w kraty;
Pas taki można równie kłaść na strony obie,
Złotą na dzień galowy, a czarną w żałobie.
Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;
Właśnie tém się zatrudniał i kończył tak gadać:

„Cóż złego że przeniosłem stoły do zamczyska,
Nikt na tém nic niestracił, a Pan może zyska,
Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa.
My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,
I mimo całą strony przeciwnéj zajadłość,
Dowiodę że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.
Wszakże kto gości prosi w zamek na wieczerzę,
Dowodzi że posiadłość tam ma albo bierze,
Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:
Pamiętam za mych czasów podobne wypadki.“

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,
Siadł przy świecy i dobył książeczkę s kieszeni,

Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,
Której nigdy nie rzuca w domu i w podróży.
Była to trybunalska wokanda: tam rzędem
Stały spisane sprawy, które przed urzędem
Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,
Albo o których późniéj dowiedzieć się zdołał.
Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem,
Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.
Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogierdem,
Radziwił z Wereszczaką, Giedrojć z Rodułtowskim,
Obuchowicz z Kahałem, Juraha s Piotrowskim,
Maleski z Mickiewiczem, a nakoniec Hrabia
S Soplicą: i czytając, s tych imion wywabia
Pamięć spraw wielkich, wszystkie processu wypadki,
I staja mu przed oczy sąd, strony i świadki;
I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym
W granatowym kuntuszu stał przed trybunałem,
Jedna ręka na szabli, a drugą do stoła
Przywoławszy dwie strony, „Uciszcie się!“ woła.
Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w one lata
Śród cichéj wsi litewskiéj; kiedy reszta świata

We łzach i krwi tonęłą, gdy ów mąż, bóg wojny
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebnych,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabor
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tylu,
Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu
Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów
Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,
Które broniły Litwę murami żelaza
Przed wieścią dla Rossyj straszną jak zaraza.

Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba
Spadała w Litwę; nieraz dziad żebrzący chleba,
Bez ręki lub nogi, przyjąwszy jałmużnę,
Stanął i oczy w koło obracał ostróżne.
Gdy niewidział we dworze rossyjskich żołnierzy,
Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
Wtenczas kim był, wyznawał; był legionistą,
Przynosił kości stare na ziemię ojczystą,
Której już bronić niemógł — jak go wtenczas cała
Rodzina pańska, jak go czeladka ściskała
Zanosząc się od płaczu! on za stołem siadał,
I dziwniejsze od baśni historye gadał.

On opowiadał jako Jenerał Dąbrowski
Z ziemi Włoskiéj stara się przyciągnąć do Polski,
Jak on rodaków zbiera na Lombardskiém polu;
Jak Kniaziewicz roskazy daje ʼs Kapitolu,
I zwycięsca, wydartych potomkom Cezarów
Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów
Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,
Gdzie się cukier wytapia, i gdzie w wiecznéj wiośnie
Pachnące kwitną lasy; z legią Dunaju
Tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju.

Mowy starca krążyły we wsi pokryjomu;
Chłopiec co je posłyszał, znikał nagle z domu,
Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
Scigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie
I nurkiem płynął na brzeg księstwa Warszawskiego,
Gdzie usłyszał głos miły „Witaj nam kollego!“
Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek s kamienia
I Moskalom przez Niemen rzekł: „do zobaczenia.“
Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,
Piotrowki, Obolewski, Rożycki, Janowicz,
Mirzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
Kupść, Gedymin i inne których nie policzę;
Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
I dobra, które na skarb Carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru
Przyszedł, i kiedy bliżéj poznał Panów dworu,
Gazetę im pokazał wyprutą s szkaplerza;
Tam stała wypisana i liczba żołnierza,
I nazwisko każdego wodza legionu,
I każdego z nich opis zwycięstwa, lub zgonu.
Po wielu latach, pierwszy raz miała rodzina
Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna;
Brał dom żałobę, ale powiedzieć nie śmiano
Po kim była żałoba, tylko zgadywano
W okolicy; i tylko cichy smutek Panów,
Lub cicha radość, była gazetą ziemianów.

Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno:
Często on s Panem Sędzią rozmawiał osobno,
Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina
Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać bernardyna
Wydawała, że mnich ten nie zawsze w kapturze
Chodził, i nie w klasztornym zestarzał się murze.
Miał on nad prawém uchem, nieco wyżéj skroni,
Bliznę, wyciętéj skóry na szerokość dłoni,
I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału;
Ran tych niedostał pewnie przy czytaniu mszału.
Ale nie tylko groźne wejrzenie i blizny,
Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.

Przy mszy, gdy z wzniesionemi zwracał się rękami
Od ołtarza do ludu, by mówić: „Pan z wami“,
To nie raz tak się zręcznie skręcił jednym razem,
Jakby prawo w tył robił za wodza roskazem,
I słowa liturgji takim wyrzekł tonem
Do ludu, jak officer stojąc przed szwadronem:
Postrzegli to chłopcy służący mu do mszy.
Spraw także politycznych był Robak swiadomszy,
Niźli żywotów świętych, a jeżdząc po kweście,
Często zastanawiał się w powiatowém mieście;
Miał pełno interessów: to listy odbierał
Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,
To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co
Nie powiadał; częstokroć wymykał się nocą
Do dworów Pańskich, s szlachtą ustawicznie szeptał,
I okoliczne wioski do koła wydeptał,
I w karczmach z wieśniakami rosprawiał nie mało,
A zawsze o tém, co się w cudzych krajach działo.
Teraz Sędziego który już spał od godziny
Przychodzi budzić; pewnie ma jakieś nowiny.

Księga Druga.

ZAMEK.

TREŚĆ.

Polowanie s chartami na upatrzonego — Gość w Zamku — Ostatni z dworzan opowiada historją ostatniego z Horeszków — Rzut oka w sad — Dziewczyna w ogórkach — Sniadanie — Pani Telimeny Anegdota petersburska — Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokoła — Interwencja Robaka -- Rzecz Wojskiego — Zakład — Daléj w grzyby.

Kto z nas tych lat niepomni, gdy młode pacholę,
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole;
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nieutrudza,
Gdzie przestępując miedzę, niepoznasz że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu!
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,

Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha
Dla mieszczan, mnóstwém głosów szepce mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
Również głęboko w niebie schowany skowronek;
Ówdzie orzeł szerokiém skrzydłem przez obszary
Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa cary;
Zaś jastrząb' pod jasnemi wiszący błękity,
Trzepie skrzydłem jak motyl na szpilce przybity,
Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zająca,
Runie nań z góry jako gwiazda spadająca.

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
I znowu dom zamieszkać na ojczystéj roli,
I służyć w jeździe która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
Nie znać innych prócz kosy i sierpa rynsztunków
I innych gazet oprócz domowych rachunków!

Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
I po ciemnozieloném świeżém wonném sianie,
S którego młodzież sobie zrobiła posłanie,

Rospływały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnéj strzechy, jak z warkocza wstęgi;
I słońce usta sennych promykiem poranka
Drażni, jak dziewcze kłosem budzące kochanka.
Już wróble skacząc świerkać zaczęły pod strzechą,
Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim iak echo,
Odezwały się chorem kaczki i indyki,
I słychać bydła w pole idącego ryki.

Wstała młodzież, Tadeusz jeszcze senny leży,
Bo też najpóźniej zasnął; s wczorajszéj wieczerzy
Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu
Jeszcze oczu niezmrużył, a na swém posłaniu
Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,
I spał twardo, aż zimny wiatr w oczy mu wionął,
Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto s trzaskiem,
I bernardyn ksiądz Robak wszedł z węzlastym paskiem
„Surge puer“ wołając i ponad barkami
Rubasznie wywijając pasek z ogórkami.

Już na dziedzińcu słychać myśliwskie okrzyki,
Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,
Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie,
Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;
Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;

Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,
Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,
Potém biegą i kładą szyje na obroże:
Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;
Nareszcie Podkomorzy dał roskaz podróży.

Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim,
Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim;
W środku jechali obok Assessor z Rejentem,
A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,
Rozmawiali przyjaźnie jak ludzie honoru
Idąc na rostrzygnienie śmiertelnego sporu;
Nikt ze słów zawziętości ich poznać niezdoła;
Pan Rejent wiódł Kusego, Assessor Sokoła.
S tyłu damy w pojazdach, młodzieńcy stronami
Czwałując tuż przy kołach gadali z damami.

Ksiądz Robak po dziedzińcu wolnym chodził krokiem
Kończąc ranne pacierze; ale rzucał okiem
Na Pana Tadeusza, marszczył się, uśmiéchał,
Wreście kiwnął nań palcem, Tadeusz podjechał;
Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby:
Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby
Ażeby mu wyraźnie co chce wytłumaczył,
Bernardyn odpowiedziéć, ni spojrzéć nieraczył,

Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył;
Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.

Właśnie w ten czas myśliwi smycze zatrzymali
I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;
Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,
A wszyscy obrócili oczy do kamienia
Nad którym stał Pan Sędzia, on zwierza obaczył
I rąk skinieniem swoje roskazy tłumaczył.
Pojęli wszyscy, stoją, a środkiem po roli
Assessor i Pan Rejent kłusują powoli;
Tadeusz będąc bliższy obudwu wyprzedził,
Stanął obok Sędziego i oczyma śledził.
Dawno już nie był w polu; na szaréj przestrzeni
Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.
Pokazał mu Pan Sędzia; siedział biedny zając
Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,
Okiem czerwoném spotkał myśliwców wejrzenie,
I jakby urzeczony, czując przeznaczenie
Ze strachu od ich oczu niemógł zwrócić oka,
I pod opoką siedział martwy jak opoka.
Tym czasem kurz na roli rośnie coraz bliżéj,
Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokół chyży,
Tuż Assessor z Rejentem, razem wrzaśli s tyłu:
„Wyczha, wyczha“ i s psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem
Ukazał się Pan Hrabia pod zamkowym lasem;
Wiedziano w okolicy, że ten Pan niemoże
Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonéj porze,
I dziś zaspał poranek, więc na sługi zrzędził,
Widząc myśliwców w polu czwałem do nich pędził;
Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,
Połami na wiatr puścił; s tyłu konno sługi
W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśnących, małych,
W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych:
Sługi które Pan Hrabia tym kształtem odzieje,
Nazywają się w jego pałacu, dżokeje.

Czwałująca czereda zleciała na błonia,
Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.
Pierwszy raz widział zamek z rana, i niewierzył
Że to były też same mury, tak odświeżył
I upięknił poranek zarysy budowy;
Zadziwił się Pan Hrabia na widok tak nowy.
Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca
Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,
Pod nim błyszczała w kratach reszta szyb wybitych,
Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych;

Niższe piętra oblała tumanu powłoka,
Rospadliny i szczerby zakryła od oka.
Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany
Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:
Przysiągłbyś że krzyk z zamku, że pod mgły zasłoną
Mury odbudowano i znów zaludniono.

Hrabia lubił widoki niezwykłe i nowe,
Zwał je romansowemi; mawiał że ma głowę
Romansową, w istocie był wielkiem dziwakiem.
Nieraz pędząc za lisem albo za szarakiem,
Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,
Jak kot gdy ujrzy wróble na wysokiéj sośnie;
Często bez psa, bez strzelby błąkał się po gaju,
Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju
Nieruchomy, schyliwszy głowę nad potokiem,
Jak czapla wszystkie ryby chcąca pozrzeć okiem.
Takie były Hrabiego dziwne obyczaje,
Wszyscy mówili że mu czegoś nie dostaje.
Szanowano go przecież, bo pan s prapradziadów,
Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów;
Nawet dla żydów.

Hrabski koń zwrócony z drogi,
Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.

Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,
Wyjął papier, ołówek i kreślił figury.
W tém spojrzawszy w bok ujrzał o dwadzieścia
kroków
Człowieka, który równie miłośnik widoków,
Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,
Zdawało się że liczył oczyma kamienie.
Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy
Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.
Szlachcic to był służący dawnych zamku panów,
Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;
Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,
Marszczkami pooraną, posępną, surową.
Dawniéj pomiędzy szlachtą z wesołości słynął;
Ale od bitwy w któréj dziedzic zamku zginął,
Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu
Ani był na kiermaszu, ani na weselu;
Odtąd jego dowcipnych żartów niesłyszano,
I uśmiechu na jego twarzy niewidziano.
Zawsze nosił Horeszków liberją dawną,
Kurtę s połami żółtą, galonem oprawną,
Który dziś żółty dawniéj zapewne był złoty.
W koło szyte jedwabiem herbowne klejnoty
Półkozice, i stąd też cała okolica
Półkozicem przezwała starego szlachcica.

Czasem też od przysłowia, które bez ustanku
Powtarzał, nazywano go także Mopanku,
Czasem Szczerbcem, że całą łysinę miał w szczerbach;
Lecz on zwał się Rębajło a o jego herbach
Niewiadomo. Klucznikiem siebie tytułował,
Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.
I dotąd nosił wielki pęk kluczów za pasem,
Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.
Choć nie miał co otwierać; bo zamku podwoje
Stały otworem; przecież wynalazł drzwi dwoje,
Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,
I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.
W jednéj z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie,
Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,
Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,
Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowém.

Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił,
I krewnego swych panów ukłonem zaszczycił
Chyląc łysinę wielką, świecącą zdaleka,
I naciętą od licznych kordów jak nasieka;
Gładził ją ręką, podszedł, i jeszcze raz nisko
Skłoniwszy się, rzekł smutnie: Mopanku, panisko,
Daruj mnie że tak mówię Jaśnie Grafie Panie,
To jest mój zwyczaj, nie zaś nieuszanowanie:

„Mopanku“ powiadali wszyscy Horeszkowie,
Ostatni Stolnik pan mój miał takie przysłowie;
Czyż to prawda Mopanku że pan grosza skąpisz
Na proces, i ten zamek Soplicom ustąpisz;
Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słychać.
Tu poglądając w zamek nie przestawał wzdychać.

Cóż dziwnego, rzekł Hrabia, koszt wielki a nuda
Jeszcze większa; chcę skończyć, lecz szlachcic maruda
Upiera się; przewidział że mię znudzić może:
Dłużéj też nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,
Przyjmę warunki zgody jakie mi sąd poda.
Zgody? krzyknął Gerwazy, s Soplicami zgoda,
S Soplicami Mopanku? to mówiąc wykrzywił
Usta, jakby nad własną mową się zadziwił.
Zgoda i Soplicowie! Mopanku Panisko
Pan żartuje, co? Zamek Horeszków siedlisko
Ma pójść w ręce Sopliców? niech pan tylko raczy
Ssiąść s konia, pódźmy w zamek, niech no pan obaczy,
Pan sam nie wie co robi, niech się pan nie wzbrania,
Ssiadaj Pan — i przytrzymał strzemię do ssiadania.

Weszli w zamek; Gerwazy stanął w progu sieni:
Tu, rzekł, dawni panowie dworem otoczeni,
Często siadali w krzesłach w poobiedniéj porze.

Pan godził spory włościan; lub w dobrym humorze
Gościom różne ciekawe historye prawił,
Albo ich powieściami i żarty się bawił.
A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty,
Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty.

Weszli w sień. — Rzekł Gerwazy, w téj ogromnéj
sieni
Brukowanéj, nie znajdziesz Pan tyle kamieni,
Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;
Szlachta ciągnęła kufy s piwnicy na pasach,
Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,
Albo na imieniny Pańskie, lub na łowy.
Podczas uczty na chórze tym kapela stała
I w organ i w rozliczne instrumenty grała;
A gdy wnoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym
Grzmiały s chóru; wiwaty szły ciągiem porządnym —
Pierwszy wiwat za zdrowie króla Jegomości,
Potém Prymasa, potém królowéj Jéjmości,
Potém Szlachty i całéj Rzeczypospolitéj;
A nakoniec po piątéj szklanicy wypitéj,
Wnoszono Kochajmy się, wiwat bez przestanku,
Który dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku;
A już gotowe stały cugi i podwody,
Aby każdego odwieść do jego gospody.

Przeszli już kilka komnat; Gerwazy w milczeniu
Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,
Przywołując pamiątkę tu smutną, tam miłą;
Czasem jakby chciał mówić „wszystko się skończyło“
Kiwnął żałośnie głową; czasem machnął ręką.
Widać że mu wspomnienie samo było męką,
I że chciał odpędzić; aż się zatrzymali
Na górze, w wielkiéj, niegdyś zwierciadlanéj sali;
Dziś wydartych zwierciadeł stały puste ramy,
Okna bez szyb, s krużgankiem wprost naprzeciw bramy.
Tu wszedłszy starzec głowę zadumaną skłonił
I twarz zakrył rękami, a gdy ją odsłonił,
Miała wyraz żałości wielkiéj i rospaczy.
Hrabia chociaż niewiedział co to wszystko znaczy,
Poglądając w twarz starca czuł jakieś wzruszenie,
Rękę mu ścisnął; chwilę trwało to milczenie,
Przerwał je starzec trzęsąc wzniesioną prawicą:
„Niemasz zgody Mopanku pomiędzy Soplicą
I krwią Horeszków; w Panu krew Horeszków płynie,
Jesteś krewnym Stolnika, po matce Łowczynie,
Która się rodzi z drugiéj córki Kasztelana,
Który był jak wiadomo, wujem mego Pana.
Słuchaj Pan historyi swéj własnéj rodzinnéj,
Która się stała właśnie w téj izbie, nie innéj.

„Nieboszczyk Pan mój Stolnik, pierwszy Pan w
powiecie,
Bogacz i familiant, miał jedyne dziecie,
Córkę piękną jak anioł; więc się zalecało
Stolnikównie i szlachty i paniąt niemało.
Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,
Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda
Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie,
Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,
I trzystu ich kreskami rządził wedle woli,
Choć sam nic nieposiadał prócz kawałka roli,
Szabli, i wielkich wąsów od ucha do ucha.
Owoż Pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha
I ugaszczał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików,
Popularny dla jego krewnych i stronników.
Wąsal tak wzbił się w dumę łaskawém przyjęciem,
Że mu się uroiło zostać Pańskim zięciem.
Do zamku nieproszony coraz częściéj jeździł,
W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł
I już miał się oświadczać, lecz pomiarkowano,
I czarną mu poléwkę do stołu podano.
Podobno Stolnikownie wpadł Soplica w oko,
Ale przed rodzicami taiła głęboko.

„Było to za Kościuszki czasów; Pan popierał

Prawo trzeciego maja, i już szlachtę zbierał,
Aby Konfederatom ciągnąć ku pomocy,
Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy:
Ledwie był czas z moździerza na trwogę wypalić,
Podwoje dolne zamknąć i ryglem zawalić.
W zamku całym był tylko Pan Stolnik, ja, Pani,
Kuchmistrz i dwóch kuchcików, wszyscy trzej pijani,
Proboszcz, lokaj, hajducy czterej, ludzie śmiali;
Więc za strzelby, do okien; aż tu tłum Moskali
Krzycząc ura, od bramy wali po tarasie;
My im ze strzelb dziesięciu palnęli „a zasie“
Nic tam niebyło widać; słudzy bez ustanku
Strzelali z dolnych pięter, a ja i Pan z ganku.
Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiéj trwodze:
Dwadzieścia strzelb leżało tu na téj podłodze,
Wystrzeliliśmy jedną, podawano drugą,
Ksiądz Proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą,
J Pani i Panienka i nadworne Panny;
Trzech było strzelców a szedł ogień nieustanny;
Grad kul sypały z dołu moskiewkie piechury,
My zrzadka, ale celniéj dogrzewali z góry.
Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,
Ale za każdym razem trzech nogi zadarło,
Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.

Pan Stolnik wesoł wyszedł ze strzelbą na ganek,
I skoro s pod lamusa moskal łeb wychylił,
On dawał zaraz ognia a nigdy nie mylił,
Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał,
I już się rzadko który z za sciany wykradał.
Stolnik widząc strwożone swe nieprzyjaciele,
Myślił zrobić wycieczkę, porwał karabelę
I z ganku krzycząc sługom wydawał roskazy;
Obróciwszy się do mnie rzekł: za mną Gerwazy!
Wtém strzelono s pod bramy, Stolnik się zająknął,
Zaczerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią
chrząknął;
Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same,
Pan słaniając się palcem ukazał na bramę.
Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!
Po wzroscie i po wąsach! jego to postrzałem
Zginął Stolnik, widziałem! łotr jeszcze do góry
Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z
rury!
Wziąłem go na cel, zbójca stał jak skamieniały!
Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały
Chybiły; czym ze złości czy z żalu źle mierzył.
Usłyszałem wrzask kobiet, spjorzałem, — pan nieżył.“

Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał,

Potém rzekł kończąc: -Moskal już wrota wywalał;
Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie,
I nie wiedziałem co się działo w około mnie;
Szczęściem na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz
Przywiodłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz,
Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w człeka,
A nienawidzą rodu Sopliców od wieka.

Tak zginął pan potężny, pobożny i prawy,
Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy,
Ojciec włościan, brat szlachty; i nie miał po sobie
Syna, któryby zemstę poprzysiągł na grobie!
Ale miał sługi wierne; ja w krew jego rany
Obmoczyłem mój rapier scyzorykiem zwany,
(Zapewne Pan o moim słyszał scyzoryku,
Sławnym na każdym sejmie, targu i sejmiku)
Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach,
Scigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach;
Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku;
Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,
Kiedyśmy zajeżdzali z Rymszą Korelicze,
Upiekł się tam jak piskorz; a tych nie policzę
Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,
Który dotąd ode mnie pamiątki nie dostał!
Rodzoniutki braciszek owego wąsala,

Żyje dotąd, i s swoich bogactw się przechwala,
Zamku Horeszków tyka swych kopców krawędzią,
Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią!
I Pan mu zamek oddasz? niecne jego nogi
Mają krew Pana mego zetrzeć s téj podłogi?
O nie! póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,
I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy
Scyzoryk swój, wiszący dotychczas na ścianie!
Póty Soplica tego zamku nie dostanie!“

„O! krzyknął Hrabia, ręce podnosząc do góry!
Dobre miałem przeczucie, żem lubił te mury!
Choć nie wiedziałem że w nich taki skarb się mieści,
Tyle scen dramatycznych, i tyle powieści!
Skoro zamek mych przodków Soplicom zagrabię,
Ciebie osadzę w murach jak mego Burgrabię:
Twoja powieść Gerwazy zajęła mię mocno.
Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną;
Udrapowany płaszczem siadłbym na ruinach,
A tybyś mi o krwawych rospowiadał czynach;
Szkoda że masz nie wielki dar opowiadania!
Nie raz takie słyszałem, i czytam podania;
W Anglii i w Szkocyi każdy zamek Lordów,
W Niemczech każdy dwór Grafów, był teatrem
mordów!

W każdéj dawnéj, szlachetnéj, potężnéj rodzinie
Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim czynie,
Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku:
W Polsce pierwszy raz słyszę o takim wypadku.
Czuję że we mnie mężnych krew Horeszków płynie!
Wiem co winienem sławie i mojéj rodzinie,
Tak! muszę zerwać wszelkie s Soplicą układy,
Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!
Honor każe „Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,
A Gerwazy szedł s tyłu w milczeniu głębokiém.
Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,
Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał,
Tak samotną rozmowę kończąc rostargniony:
„Szkoda że ten Soplica stary nie ma żony!
Lub córki pięknéj, któréj ubóstwiałbym wdzięki.
Kochając i niemogąc otrzymać jéj ręki;
Nowabysię w powieści zrobiła zawiłość:
Tu serce, tam powinność! tu zemsta, tam miłość!"

Tak szepcąc spiął ostrogi, koń leciał do dworu,
Gdy zdrugiéj strony strzelcy wyjeżdżali z boru;
Hrabia lubił myśliwstwo, ledwie strzelców zoczył,
Zapomniawszy o wszystkiém prosto ku nim skoczył,
Mijając bramę, ogród, płoty; gdy w zawrocie
Obejrzał się, i konia zatrzymał przy płocie;

Był sad —

Drzewa owocne zasadzone w rzędy
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam plącząc strąki w marchwi zielonéj warkoczu,
Wysmukły bob obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzie niegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swéj łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy roscięte miedzą; na każdym przykopie
Stoją jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone,
Jch liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Daléj maków białawe górują badyle,
Na nich, myślisz iż rojem usiadły motyle
Trzepiecąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni;
Tylą farb żywych, różnych, mak zrzenicę mami.
W środku kwiatów jak pełnia pomiędzy gwiazdami

Krągły słonecznik, licem wielkiém, gorejącém,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
Bez drzew, krzewów i kwiatów; ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym,
Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.
Pośrodku, szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,
W majowéj zieloności tonąc po kolana;
Z grząd zniżając się w brózdy, zdała się nie stąpać,
Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.
Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
Od skroni powiewały dwie wstążki różowe
I kilka puklów światłych, rozwitych warkoczy;
Na ręku miała koszyk, w dół spuściła oczy,
Prawą rękę podniosła, niby do chwytania;
Jako dziewcze gdy rybki w kąpieli ugania
Bawiące się z jéj nóżką, tak ona co chwila
Z rękami i koszykiem po owoc się chyla
Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia zachwycony tak cudnym widokiem,
Stał cicho. Słysząc tentent towarzyszów w dali,
Ręką dał znak ażeby wstrzymać konie; stali.
On patrzył z wyciągniętą szyją; jak dziobaty

Żuraw, zdala od stada gdy odprawia czaty
Stojąc na jednéj nodze, s czujnemi oczyma,
I by niezasnąć kamień w drugiéj nodze trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i skroni;
Był to bernardyn kwestarz Robak, a miał w dłoni
Podniesione do góry węzłowate sznurki:
Ogórków chcesz Waść, krzyknął, oto masz ogórki.
Wara Panie od szkody, na tutejszéj grzędzie
Nie dla Waszeci owoc, nic s tego nie będzie —
Potém palcem pogroził, kaptura poprawił,
I odszedł; Hrabia jeszcze chwilę w miejscu bawił,
Śmiejąc się i klnąc razem téj nagłéj przeszkodzie;
Okiem powrócił w ogród; ale już w ogrodzie
Niebyło jéj; mignęła tylko śród okienka
Jéj różowa wstążeczka i biała sukienka.
Widać na grzędach jaką przeleciała drogą,
Bo liść zielony, w biegu potrącony nogą,
Podnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił,
Jak woda którą ptaszek skrzydłami roskroił.
A na miejscu gdzie stała, tylko porzucony
Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony,
Pogubiwszy owoce na liściach zawisał,
I wśród fali zielonéj jeszcze się kołysał.

Po chwili wszędzie było samotnie i głucho;

Hrabia oczy w dom utkwił i natężył ucho,
Zawsze dumał, a strzelcy zawsze nieruchomie
Za nim stali. — Aż w cichym i samotnym domie
Wszczął się naprzód szmer, potém gwar i krzyk
wesoły,
Jak w ulu pustym kiedy weń wlatają pszczoły:
Był to znak że wracali goście s polowania,
I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki,
Roznoszono potrawy, sztuczce i butelki;
Męszczyzni tak jak weszli, w swych zielonych strojach,
S talerzami, s szklankami, chodząc po pokojach,
Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,
Rosprawiali o flintach, chartach i szarakach;
Podkomorstwo i Sędzia przy stole; a w kątku
Panny szeptały s sobą; niebyło porządku,
Jaki się przy obiadach i wieczerzach chowa,
Była to w staropolskim domie moda nowa;
Przy śniadaniach, Pan Sędzia choć nierad pozwalał
Na taki nieporządek, lecz go niepochwalał.

Różne też były dla dam i męszczyzn potrawy:
Tu roznoszono tace s całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,

Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,
I s porcelany saskiéj złote filiżanki,
Przy każdéj garnuszeczek mały do śmietanki.
Takiéj kawy jak w Polszcze niema w żadnym kraju:
W Polszcze, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robiena kawy osobna niewiasta,
Nazywa się Kawiarka; ta sprowadza z miasta,
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach moki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana,
Na wsi nietrudno o nię: bo kawiarka z rana
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdéj filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniéj wstawszy piły kawę,
Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
W którym twarog gruzłami posiekany pływa.

Zaś dla męszczyzn więdliny leżą do wyboru,
Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,

Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;
W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie:
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się grona:
Starszyzna przy stoliku małym zgromadzona
Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,
O nowych coraz sroższych ukazach cesarskich,
Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski
Oceniał, i wyciągał polityczne wnioski.
Panna Wojska włożywszy okólary sine,
Zabawiała kabałą s kart Podkomorzynę.
W drugiéj izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,
W spokojniejszych i cichszych niż zwykle rozmowach:
Bo Assessor i Rejent, oba mówcy wielcy,
Pierwsi znawcy myślistwa i najlepsi strzelcy,
Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni;
Oba dobrze puszczali, oba byli pewni
Zwycięstwa swoich chartów, gdy pośrod równiny
Znalazł się zagon chłopskiéj, niezżętéj jarzyny;
Tam wpadł zając: już Kusy, już go Sokoł imał,
Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy zatrzymał;
Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie;
Psy powróciły same: i nikt pewnie niewié,

Czy źwierz uszedł, czy wzięty; nikt zgadnąć niezdoła,
Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,
Czyli obódwu razem: różnie sądzą strony,
I spór na dalsze czasy trwał nierostrzygniony.

Wojski stary od izby do izby przechodził,
Po obu stronach oczy rostargnione wodził,
Niemieszał się w myśliwych, ni w starców rozmowę,
I widać że czém inném zajętą miał głowę;
Nosił skórzaną plackę: czasem w miejscu stanie,
Duma długo, i—muchę zabije na ścianie.

Tadeusz s Telimeną pomiędzy izbami
Stojąc we drzwiach na progu, rozmawiali sami;
Niewielki oddzielał ich od słuchaczów przedział,
Więc szeptali; Tadeusz teraz się dowiedział:
Że ciocia Telimena jest bogata Pani,
Że niesą kanonicznie s sobą powiązani
Zbyt bliskiém pokrewieństwem; i nawet niepewno
Czy ciocia Telimena jest synowca krewną,
Choć ją stryj zowie siostrą, bo wspólni rodzice
Tak ich kiedyś nazwali mimo lat rożnicę;
Że potém ona żyjąc w stolicy czas długi
Wyrządziła niezmierne Sędziemu usługi;
Stąd ją Sędzia szanował bardzo, i przed światem

Lubił może s próżności, nazywać się bratem,
Czego mu Telimena przez przyjaźń niewzbrania.
Ulżyły Tadeusza sercu te wyznania.
Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli;
A wszystko to się stało w jednéj krótkiéj chwili.

Ale w izbie na prawo, kusząc Assessora
Rzekł Rejent mimojazdem: ja mówiłem wczora,
Że polowanie nasze udać się niemoże:
Jeszcze zbyt wcześnie, jeszcze na pniu stoi zboże,
I mnóstwo sznurów chłopskiéj niezżętéj jarzyny;
Stąd i Hrabia nieprzybył mimo zaprosiny.
Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się,
Nieraz gadał o łowów i miejscu i czasie;
Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa,
I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa
Polować tak jak u nas, bez żadnego względu
Na artykuły ustaw, przepisy urzędu;
Nieszanując niczyich kopców ani miedzy
Jeździć po cudzym gruncie, bez dziedzica wiedzy;
Wiosną równie jak latem zbiegać pola, knieje,
Zabijać nieraz lisa właśnie gdy linieje,
Albo cierpieć iż kotną samicę zajęczą
Charty w runi uszczują, a raczéj zamęczą,
Z wielką szkodą zwierzyny. Stąd się Hrabia żali,

Że cywilizacya większa u Moskali;
Bo tam o polowania są ukazy Cara
I dozor policyi i na winnych kara.

Telimena ku lewéj izbie obrócona,
Wachlując batystową chusteczką ramiona,
„Jak mamę kocham, rzekła, Hrabia się niemyli,
Znam ja dobrze Rossyą. Państwo niewierzyli
Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów
Godna pochwały czujność i srogość urzędów.
Byłam ja w Petersburgu, nie raz, nie dwa razy!
Miłe wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!
Co za miasto! Nikt s Panów niebył w Petersburku?
Chcecie może plan widzieć, mam plan miasta, w biórku.
Latem świat Petersburski zwykł mieszkać na daczy,
To jest w pałacach wiejskich (dacza wioskę znaczy);
Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,
Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,
Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku:
Ach co to był za domek! plan mam dotąd w biórku.
Otoż na me nieszczęście, najął dom w sąsiedztwie
Jakiś mały czynownik, siedzący na śledztwie;
Trzymał kilkoro chartów; co to za męczarnie!
Gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie.
Ilekroć s książką wyszłam sobie do ogrodu,

Użyć księżyca blasku, wieczornego chłodu;
Zaraz i pies przyleciał, i kręcił ogonem,
I strzygł uszami, właśnie jakby był szalonym.
Nieraz się nalękałam. Serce mi wróżyło
S tych psów jakieś nieszczęście: tak się też zdarzyło.
Bo gdym szła do ogrodu pewnego poranka,
Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka
Bonończyka! Ach była to roskoszna psina,
Miałam ją w podarunku od księcia Sukina
Na pamiątkę; rozumna, żywa jak wiewiórka,
Mam jéj portrecik, tylko niechcę iść do biórka.
Widząc ją zadławioną, z wielkiéj alteracyi
Dostałam mdłości, spazmów, serca palpitacyi.
Możeby gorzéj jeszcze z mojém zdrowiem było;
Szczęściem nadjechał właśnie z wizytą Kiryło
Gawrylicz Kozodusin, Wielki Łowczy Dworu,
Pyta się o przyczynę tak złego humoru.
Każe wnet urzędnika przyciągnąć za uszy;
Staje pobladły, drżący i prawie bez duszy.
Jak śmiesz, krzyknął Kiryło piorunowym głosem,
Szczuć wiosną łanię kotną tuż pod Carskim nosem?
Osłupiały czynownik, darmo się zaklinał,
Że polowania dotąd jeszcze niezaczynał,
Że z Wielkiego Łowczego wielkiém pozwoleniem,
Zwierz uszczuty zda mu się być psem nie jeleniem.

Jakto? krzyknął Kiryłło, to śmiałbyś hultaju
Znać się lepiéj na łowach i źwierząt rodzaju,
Niżli ja Kozodusin, Carski Jegermajster?
Niechajże nas rozsądzi zaraz Policmajster.
Wołają Policmajstra, każą spisać śledztwo:
Ja rzecze Kozodusin wydaję świadectwo,
Że to łani; on plecie że to pies domowy:
Rozsądź nas kto zna lepiéj źwierzynę i łowy.
Policmajster powinność służby swéj rozumiał,
Bardzo się nad zuchwalstwem czynownika zdumiał,
I odwiodłszy na stronę po bratersku radził,
By przyznał się do winy i tém grzech swój zgładził.
Łowczy udobruchany, przyrzekł że się wstawi
Do Cesarza, i wyrok nieco ułaskawi;
Skończyło się że charty poszły na powrozy,
A czynownik na cztéry tygodnie do kozy.
Zabawiła nas cały wieczor ta pustota,
Zrobiła się nazajutrz s tego anegdota,
Że w sądy o mym piesku Wielki Łowczy wdał się;
I nawet wiem s pewnością, że sam Cesarz śmiał się.

Śmiech powstał w obu izbach. Sędzia z Bernardynem
Grał w maryasza, i właśnie z wyświęconém winem
Miał coś ważnego zadać; już ksiądz ledwo dyszał,
Kiedy Sędzia początek powieści posłyszał;

I tak nią był zajęty, że z zadartą głową,
I s kartą podniesioną, do bicia gotową,
Siedział cicho i tylko bernardyna trwożył,
Aż gdy skończono powieść, Pamfila położył,
I rzekł śmiejąc się: niech tam sobie kto chce chwali
Niemców cywilizacyą, porządek Moskali;
Niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów
Prawować się o lisa, i przyzywać drabów
By wziąść w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje;
Na Litwie chwała Bogu stare obyczaje:
Mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,
I niebędziemy nigdy o to robić śledztwa;
I zboża mamy dosyć, psy nas nieogłodzą,
Że po jarzynach albo po życie pochodzą;
Na morgach chłopskich bronię robić polowanie.

Ekonom z lewéj izby rzekł: niedziw Mospanie,
Bo też Pan tak drogo płaci za taką zwierzynę.
Chłopy i radzi temu; kiedy w ich jarzynę
Wskoczy chart, niech otrząśnie dziesięć kłosów żyta,
To Pan mu kopę oddasz i jeszcze nie kwita,
Często chłopi talara w przydatku dostali;
Wierz mi Pan że się chłopstwo bardzo rozzuchwali,
Jeśli — Resztę dowodów Pana Ekonoma
Niemógł usłyszyć Sędzia, bo pomiędzy dwoma

Rosprawami, wszczęło się dziesięć rozgoworów,
Anegdot, opowiadań, i nakoniec sporów.

Tadeusz s Telimeną całkiem zapomnieni,
Pamiętali o sobie: — Rada była Pani,
Że jéj dowcip tak bardzo Tadeusza bawił;
Młodzieniec jéj nawzajem komplementy prawił,
Telimena mówiła coraz wolniéj, ciszéj,
I Tadeusz udawał że jéj niedosłyszy
W tłumie rozmów: więc szepcąc tak zbliżył się do niéj,
Że uczuł twarzą lubą gorącość jéj skroni,
Wstrzymując oddech, usty chwytał jéj westchnienie
I okiem łowił wszystkie jéj wzroku promienie.

W tém pomiędzy ich usta, mignęła znienacka
Naprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego placka.

Na Litwie much dostatek. Jest pomiędzy niemi
Gatunek much osobny, zwanych szlacheckiemi;
Barwą i kształtem całkiem podobne do innych,
Ale pierś mają szerszą, brzuch większy od gminnych,
Latając bardzo huczą i nieznośnie brzęczą,
A tak silne, że tkankę przebiją pajęczą,
Lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzie bzykać,
Bo s pająkiem sam na sam może się borykać.

Wszystko to Wojski zbadał, i jeszcze dowodził
Że się s tych much szlacheckich, pomniejszy lud rodził,
Że one tém są muchom, czém dla roju matki,
Że z ich wybiciem zginą owadów ostatki.
Prawda że Ochmistrzyni, ani Pleban wioski,
Nieuwierzyli nigdy w te Wojskiego wnioski
I trzymali inaczéj o muszym rodzaju;
Lecz Wojski nieodstąpił dawnego zwyczaju,
Ledwo dostrzegł takową muchę, wnet ją gonił.
Właśnie mu teraz szlachcic nad uchem zadzwonił,
Podwakroć Wojski machnął, zdziwił się że chybił,
Trzeci raz machnął, tylko co okna niewybił;
Aż mucha odurzona od tyla łoskotu,
Widząc dwóch ludzi w progu broniących odwrotu,
Rzuciła się z rospaczą pomiędzy ich lica;
I tam za nią mignęła Wojskiego prawica:
Raz tak był tęgi, że dwie odskoczyły głowy,
Jak rozdarte piorunem dwie drzew połowy;
Uderzyły się mocno oboje w uszaki,
Tak że obojgu sine zostały się znaki.

Szczęściem nikt nieuważał, bo dotychczasowa
Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa,
Zakończyła się nagłym wybuchem hałasu: —
Jak strzelcy gdy na lisa zaciągną do lasu,

Słychać gdzieniegdzie trzask drzew, strzały, psiarni
granie,
A wtém dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,
Dał znak, i wrzask powstaje w strzelców i psów
tłuszczy,
Jak gdyby się ozwały wszystkie drzewa puszczy;
Tak dzieje się z rozmową: zwolna się pomyka,
Aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika.
Dzikiem rozmów strzeleckich, był ów spór zażarty
Rejenta z Assessorem o sławne ich charty.
Krótko trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę;
Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,
Że wyczerpnęli sporu zwyczajne trzy części,
Przycinki, gniew, wyzwanie — i szło już do pięści.

Więc ku nim z drugiéj izby wszyscy się porwali,
I tocząc się przeze drzwi nakształt bystréj fali,
Unieśli młodą parę stojącą na progu,
Podobną Janusowi, dwólicemu bogu.

Tadeusz s Telimeną nim na skroniach włosy
Poprawili, już groźne ucichły odgłosy,
Szmer zmieszany ze śmiechem śród ciżby się szerzył,
Nastąpił rozejm kłótni, kwestarz ją uśmierzył:
Człowiek stary, lecz krępy i bardzo pleczysty.

Właśnie kiedy Assessor bodbiegł do Jurysty,
Gdy już sobie gestami grozili szermierze,
On raptem porwał obu s tyłu za kołnierze,
I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne
Jedną o drugą jako jaja wielkanocne,
Roskrzyżował ramiona nakształt drogoskazu
I we dwa kąty izby rzucił ich od razu;
Chwilę s rosciągnionemi stał w miejscu rękami,
I Pax, pax, pax vobiscum krzyczał, pokój z wami!

Zdziwiły się, zaśmiały nawet strony obie:
Przez szacunek należny duchownéj osobie,
Nieśmiano łajać mnicha; a po takiéj probie
Nikt też niemiał ochoty zaczynać z nim zwadę,
Zaś kwestarz Robak skoro uciszył gromadę,
Widać było że wcale triumfu nieszukał,
Ani groził kłótnikom więcéj, ani fukał;
Tylko poprawił kaptur, i ręce za pasem
Zatknąwszy, wyszedł cicho s pokoju.

Tym czasem
Podkomorzy i Sędzia między dwiema strony
Plac zajęli. Pan Wojski jakby przebudzony
Z głębokiego dumania, na środek wystąpił,
Obiegał zgromadzenie ognistą źrenicą,
I gdzie szmer jeszcze słyszał, jak ksiądz kropielnicą,

Tam uciszając machał swą placką ze skóry;
Wreszcie podniosłszy trzonek s powagą do góry,
Jak laskę marszałkowską, nakazał milczenie.

Uciszcie się! powtarzał, miejcie też baczenie,
Wy co jesteście pierwsi myśliwi w powiecie,
Z gorszącéj kłótni waszéj co będzie? czy wiecie?
Oto młodzież na któréj Ojczyzny nadzieje,
Która ma wsławiać nasze ostępy i knieje,
Która niestety, i tak zaniedbuje łowy,
Może do ich wzgardzenia weźmie pochop nowy!
Widząc, że ci co innym mają dać przykłady,
Z łowów przynoszą tylko poswarki i zwady.
Miejcie też wzgląd powinny dla mych włosów siwych;
Bo znałem większych dawniéj niżli wy myśliwych,
A sądziłem ich nieraz sądem polubownym.
Któż był w lasach Litewskich Rejtanowi równym?
Czy obławę zaciągnąć, czy spotkać się ze źwierzem,
Kto z Białopiotrowiczem porówna się Jerzym?
Gdzie jest dziś taki strzelec jak szlachcic Żegota,
Co kulą s pistoletu w biegu trafiał kota?
Terajewicza znałem, co idąc na dziki
Niebrał nigdy innego oręża prócz piki!
Budrewicza co chodził z niedźwiedziem w zapasy:
Takich mężow widziały niegdyś nasze lasy!

Jeśli do sporu przyszło, jakże spór godzili?
Oto obrali sędziów, i zakład stawili.
Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka,
Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka!
I wy Panowie pójdźcie za starych przykładem,
I rostrzygnijcie spór wasz choć mniejszym zakładem.
Słowo wiatr, w sporach słównych nigdy nie masz
końca,
Szkoda ust dłużéj suszyć kłótnią o zająca;
Więc polubownych sędziów najpierwéj obierzcie,
A co wyrzekną, temu sumiennie zawierzcie.
Ja uproszę Sędziego, ażeby niebronił
Dojeżdżaczowi, choćby po pszenicy gonił;
I tuszę że tę łaskę otrzymam od Pana:
To wyrzekłszy, Sędziego ścisnął za kolana.

„Konia, zawołał Rejent, stawię konia z rzędem,
I opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem,
Iż ten pierścień Sędziemu w salarium złożę.“
— „Ja, rzekł Assessor, stawię me złote obroże,
Jaszczurem wykładane s kółkami ze złota,
I smycz tkany jedwabny, którego robota
Równie cudna jak kamień, co się na nim świeci.
Chciałem ten sprzęt zostawić w dziedzictwie dla dzieci,
Jeślibym się ożenił: ten sprzęt mnie darował

Książe Dominik, kiedym z nim razem polował
I z marszałkiem Sanguszką księciem, z jenerałem
Mejenem, i gdy wszystkich na charty wyzwałem.
Tam bezprzykładną w dziejach polowania sztuką,
Uszczułem sześć zajęcy pojedynczą suką.
Polowaliśmy wtenczas na Kupiskiém błoniu;
Książe Radziwił niemógł dosiedzieć na koniu;
Ssiadł, i objąwszy sławną mą charcicę kanię,
Trzykroć jéj w samą głowę dał pocałowanie,
A potém trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,
Rzekł, mianuję cię odtąd Księżną na Kupisku:
Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa,
Od miejsc na których wielkie odnieśli zwycięstwa.

Telimena znudzona zbyt długiemi swary,
Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary,
Wzięła koszyczek s kołka: „Panowie jak widzę,
Chcecie zostać w pokoju, ja idę na rydze;
Kto łaska, proszę za mną“: rzekła — koło głowy
Obwijając czerwony szal kaszemirowy;
Córeczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,
A drugą podchyliła do kostek sukienkę;
Tadeusz milczkiem za nią na grzyby pośpieszył.

Zamiar przechadzki bardzo Sędziego ucieszył,

Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,
A więc krzyknął: Panowie, po grzyby do boru!
Kto z najpięknieyszym rydzem do stołu przybędzie,
Ten obok najpiękniejszéj Panienki usiędzie;
Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama,
Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama.

Księga Trzecia.

UMIZGI.

TREŚĆ.

Wyprawa Hrabi na sad — Tajemnicza nimfa gęsi pasie — Podobieństwo grzybo-brania do przechadzki cieniów elizeyskich — Gatunki grzybów — Telimena w świątyni dumania — Narady tyczące się postanowienia Tadeusza — Hrabia pejzażysta — Tadeusza uwagi malarskie nad drzewami i obłokami — Hrabiego mysli o sztuce — Dzwon — Bilecik — Niedźwiedź Mospanie!

Hrabia wracał do siebie lecz konia wstrzymywał,
Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał;
I raz mu się zdawało, że znowu z okienka
Błysnęła tajemnicza, bieluchna sukienka,
I coś lekkiego znowu upadło z wysoka,
I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,
Pomiędzy zielonemi świeciło ogórki:
Jako promień słoneczny wykradłszy się s chmurki,

Kiedy śród roli padnie na krzemienia skibę,
Lub śród zielonéj łąki w drobną wody szybę.

Hrabia ssiadł s konia, sługi odprawił do domu,
A sam ku ogrodowi ruszył pokryjomu;
Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwory,
I wcisnął się pocichu, jak wilk do obory;
Nieszczęściem trącił krzaki suchego agrestu.
Ogrodniczka jak gdyby zlękła się szelestu,
Oglądała się wkoło, lecz nic niespostrzegła;
Przecież ku drugiéj stronie ogrodu pobiegła.
A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,
Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,
Skacząc jak żaba, cicho, przyczołgał się blisko,
Wytknął głowę, i ujrzał cudne widowisko.

W téj części sadu, rosły tu i owdzie wiśnie,
Śród nich zboże, w gatunkach zmieszanych umyślnie:
Pszenica, kukuruza, bob, jęczmień wąsaty,
Proso, groszek, a nawet krzewiny i kwiaty.
Domowemu to ptastwu, taki ochmistrzyni
Wymyśliła ogródek: sławna gospodyni,
Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowi-
czówna; jéj wynalazek epokę stanowi
W domowém gospodarstwie; dziś powszechnie znany,

Lecz w owych czasach jeszcze za nowość podany,
Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,
Nim go wydał kalendarz, pod tytułem: **Sposób**
Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek
Wychowywania drobiu — był to ów ogrodek.

Jakoż zaledwie kogut co odprawia warty
Stanie, i nieruchomie dzierżąc dziob zadarty,
I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,
Aby tém łacniéj w niebo mógł celować okiem,
Dostrzeże wiszącego jastrzębia śród chmury;
Krzyknie: zaraz w ten ogród chowają się kury,
Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestrachu
Gołębie gdy niemogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego niewidziano wroga,
Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga,
Od niéj ptaki w zbożowym ukryły się lasku;
Tamte leżą w murawie, te kąpią się w piasku.

Sród ptaszych głów sterczały główki ludzkie małe,
Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe;
Szyje nagie do ramion, a pomiędzy niemi
Dziewczyna głową wyższa, z włosami dłuższemi;
Tuż za dziećmi paw' siedział, i piór swych obręcze

Szeroko rosprzestrzenił w różnofarbną tęczę,
Na któréj główki białe jak na tle obrasku,
Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku,
Obrysowane w koło kręgiem pawich oczu
Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w prze-
zroczu
Pomiędzy kukuruzy złocistemi laski,
I angielską trawicą posrebrzaną w paski,
I szczyrem koralowym, i zielonym ślazem,
Których kształty i barwy mieszały się razem,
Niby krata ze srebra i złota pleciona
A powiewna od wiatru jak lekka zasłona.

Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badylów
Wisiała jak baldakim jasna mgła motylów,
Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka
Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,
Gdy w powietrzu zawisną zaledwo widome,
I chociaż brzęczą, myślisz że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w ręku
Szarą kitką, podobną do piór strusich pęku,
Nią zdała się oganiać główki niemowlęce
Od złotego motylów deszczu — w drugiéj ręce
Coś u niéj rogatego, złocistego świeci,

Zdaje się że naczynie do karmienia dzieci:
Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei,
Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę
Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,
Niewiedząc, że napastnik już s przeciwnéj strony
Zbliżył się czołgając jak wąż przez zagony;
Aż wyskoczył z łopucha, spoyrzała, — stał blisko,
O cztery grzędy od niéj i kłaniał się nisko.
Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,
I zrywała się lecieć jak kraska spłoszona,
I już lekkie jéj stopy wionęły nad liściem,
Kiedy dzieci przelękłe podróżnego wniściem
I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie;
Posłyszała, uczuła że jest nierostropnie
Dziatwę małą, przelękłą i samą porzucić:
Wracała wstrzymując się, lecz musiała wrócić,
Jak niechętny duch, wróżka przyzwany zaklęciem;
Przybiegła z najkrzykliwszém bawić się dziecięciem,
Siadła przy niém na ziemi, wzięła je na łono,
Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;
Aż się uspokoiły, objąwszy w rączęta
Jéj kolana i tuląc główki jak pisklęta
Pod skrzydło matki. Ona rzekła: czy to pięknie

Tak krzyczeć? czy to grzecznie? ten Pan was się
zlęknie,
Ten Pan nieprzyszedł straszyć, to nie dziad szkaradny,
To gość, dobry Pan, patrzcie tylko jaki ładny.

Sama spojrzała: Hrabia uśmiechnął się mile,
I widocznie był wdzięczen jéj za pochwał tyle;
Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła,
I jako róży pączek cała się spłoniła.

W istocie był to piękny Pan: słusznéj urody,
Twarz miał pociągłą, blade lecz świeże jagody,
Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;
Na włosach, listki ziela i kosmyki trawy,
Które Hrabia oberwał pełznąc przez zagony,
Zieleniły się jako wieniec rospleciony.

„O ty, rzekł, jakiémkolwiek uczczę cię imieniem,
Bóstwem jesteś czy Nimfą, duchem czy widzeniem!
Mów! własnali cię wola na ziemię sprowadza,
Obcali więzi ciebie na podole władza?
Ach domyślam się — pewnie wzgardzony miłośnik
Jaki Pan możny, albo opiekun zazdrośnik,
W tym cię parku zamkowym jak zaklętą strzeże!
Godna by o cię bronią walczyli rycerze,

Byś została romansów heroiną smutnych!
Odkryj mi Piękna tajnie twych losów okrutnych!
Znajdziesz wybawiciela — odtąd twém skinieniem,
Jak rządzisz sercem mojém, tak rządź mém ramie-
niem.“
Wyciągnął ramie —

Ona z rumieńcem dziewiczym
Ale z rozweseloném słuchała obliczém:
Jak dziecie lubi widzieć obraski jaskrawe
I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,
Nim rozezna ich wartość, tak się słuch jéj pieści
Z dźwięcznemi słowy, których niepojęła treści.
Nakoniec zapytała: skąd tu Pan przychodzi?
I czego tu po grzędach szuka Pan Dobrodziéj?

Hrabia oczy rostworzył, zmieszany, zdziwiony,
Milczał; wreszcie zniżając swéj rozmowy tony,
Przepraszam, rzekł, Panienko! widzę żem pomieszał
Zabawy! ach przepraszam, jam właśnie pośpieszał
Na śniadanie; już późno, chciałem na czas zdążyć,
Panienka wié że drogą trzeba w koło krążyć,
Przez ogród zdaje mi się jest do dworu prościéj.
Dziewczyna rzekła: tędy droga Jegomości;
Tylko grząd psuć nietrzeba; tam między murawą

Scieszka — W lewo, zapytał Hrabia, czy na prawo?
Ogrodniczka podniosłszy błękitne oczęta,
Zdawała się go badać ciekawością zdjęta:
Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,
A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niéj
Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu
Rozmowy — Panna mieszka tu? blisko ogrodu?
Czy na wsi? jakto było, żem Panny w dworze
Niewidział? czy niedawno tu? przyjezdna może?
Dziewcze wstrząsnęła głową;—Przepraszam Panienko,
Czy nie tam pokoj Panny, gdzie owe okienko?

Myślił zaś w duchu, jeśli niejest Heroiną
Romansów, jest młodziuchną, prześliczną dziewczyną.
Zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta
W samotności, jak róża śród lasów roskwita;
Dosyć ją wynieść na świat, postawić przed słońcem
Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem!

Ogrodniczka tymczasem powstała w milczeniu,
Podniosła jedno dziécie zwisłe na ramieniu,
Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem
Zaganiając jak gąski, szła daléj ogrodem.

Odwróciwszy się rzekła — czy też Pan niemoże

Rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?
— Ja ptastwo pędzać? krzyknął Hrabia z zadziwie-
niem;
Ona tymczasem znikła zakryta drzew cieniem.
Chwilę jeszcze s szpaleru przez majowe zwoje
Przeświecało coś na wskróś jakby oczu dwoje.

Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogrodzie:
Dusza jego jak ziemia po słońca zachodzie,
Ostygała powoli, barwy brała ciemne:
Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzyjemne.
Zbudził się, sam niewiedząc, na kogo się gniewał;
Niestety mało znalazł! nadto się spodziewał!
Bo gdy zagonem pełznął ku owéj pastérce,
Paliło mu się w głowie, skakało w nim serce;
Tyle wdziękow w tajemnéj nimfie upatrywał,
W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał!
Wszystko znalazł inaczéj: prawda że twarz ładną,
Kibić miała wysmukłą, ale jak nieskładną!
A owa pulchność liców i rumieńca żywość
Malująca zbyteczną, prostacką szczęśliwość!
Znak że myśl jeszcze drzémie, że serce nieczynne:
I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne!
Pocóż się łudzić, krzyknął, zgaduję, po czasie!
Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!

Z Nimfy zniknieniem całe czarowne przezrocze
Zmieniło się: te wstęgi, te kraty urocze
Złote, srebrne, niestety! więc to była słoma?

Hrabia z załamanemi poglądał rękoma
Na snopek uwiązanéj trawami mietlicy,
Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewicy.
Niezapomniał naczynia: złocista konewka,
Ow rożek Amaltei, była to marchewka!
Widział ją w ustach dziecka pożeraną chciwie:
Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

Tak chłopiec kiedy ujrzy cykoryi kwiaty
Wabiące dłoń miękkiemi, lekkiemi bławaty,
Chce je pieścić, zbliża się, dmuchnie, i s podmuchem
Cały w wiatr na powietrzu rozleci się puchem,
A w ręku widzi tylko badacz zbyt ciekawy
Nagą łodygę szarozielonawéj trawy.

Hrabia wcisnął na oczy kapelusz i wracał
Tamtędy kędy przyszedł, ale drogę skracał,
Stąpając po jarzynach, kwiatach i agreście,
Aż przeskoczywszy parkan odetchnął nareście!
Przypomniał że dziewczynie mówił o śniadaniu;
Może już wszyscy wiedzą o jego spotkaniu

W ogrodzie, blisko domu? może szukać wyślą?
Postrzegli że uciekał? kto wié co pomyślą?
Więc wypadało wrócić. Chyląc się u płotów
Około miedz i zielska, po tysiącach zwrotów
Rad był przecież że wyszedł w końcu na gościniec,
Który prosto prowadził na dworski dziedziniec.
Szedł przy płocie a głowę odwracał od sadu
Jak złodziej od śpichlerza, aby niedać śladu
Że go myśli nawiedzić, albo już nawiedził.
Tak Hrabia był ostróżny choć go nikt nieśledził;
Patrzył w stronę przeciwną ogrodu, na prawo.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą,
Po jéj kobiercach,na wskroś białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce, i dziwny ubior: istne duchy
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,
Ci w długich, rospuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;
Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
Ten z gołą głową; inni jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony
Ciągnące się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innéj postawie: ten przyrosł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczonemi,

Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo niezboczy;
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
Jeżeli się przybliżą albo się spotkają,
Ani mówią do siebie, ani się witają,
Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.
Hrabia widział w nich obraz Elizejskich cieni,
Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,
Błąkają się spokojne, ciche, lecz posępne.

Któżby zgadnął że owi, tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie, są nasi znajomi?
Sędziowscy towarzysze! z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybo-brania:
Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować
Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
W każdéj okoliczności do miejsca i czasu.
Dla tego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,
Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
Służące do przechadzki opończe płócienne
Któremi osłaniają po wierzchu kontusze,
A na głowy słomianne wdziali kapelusze,
Stąd biali wyglądają, jak czyscowe dusze.
Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny

I kilku po francusku chodzących.

Téj sceny
Hrabia niepojął, nieznał wiejskiego zwyczaju,
Więc zdziwiony nieźmiernie biegł pędem do gaju.

Grzybów było w bród: chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione **lisice**,
Co są godłem panieństwa: bo czerw ich niezjada
I dziwna, żaden owad na nich nieusiada.
Panienki za wysmukłym gonią **borowikiem**
Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.
Wszyscy dybią na **rydza**; ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennéj pory,
Czy zimą. Ale Wójski zbierał **muchomory**.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku,
Lecz niesą bez użytku, one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą; tu s krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żołte i czerwone,
Niby czareczki różném winem napełnione;

Koźlak jak przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka — zaś innych imiona
Znane tylko w zajęczym, lub wilczym języku,
Od ludzi nieochrzczone; a jest ich bez liku.
Ni wilczych ni zajęczych nikt dotknąć nieraczy,
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,
Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nierostropnie.

Telimena ni wilczych, ni ludzkich niezbiera,
Rostargniona, znudzona, do koła spoziera,
Z głową w górę zadartą. Więc Pan Rejent w gniewie
Mówił o niéj, ze grzybów szukała na drzewie;
Assessor ją złośliwiéj, równał do samicy,
Która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż zdała się szukać samotności, ciszy,
Oddalała się zwolna od swych towarzyszy,
I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły,
Ocieniony, bo drzewa gęściéj na nim rosły.
Wśrodku szarzał się kamień; strumień s pod kamienia

Szumiał, tryskał, i zaraz, jakby szukał cienia
Chował się między gęste i wysokie zioła,
Które wodą pojone bujały do koła;
Tam ów bystry swawolnik spowijany w trawy
I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,
Niewidzialny i ledwie dosłyszany szepce,
Jako dziecie krzykliwe złożone w kolebce,
Gdy matka nad niém zwiąże firanki majowe
I liścia makowego nasypie pod głowę:
Miejsce piękne i ciche, tu się często schrania
Telimena, zowiąc je **Swiątynią dumania.**

Stanąwszy nad strumieniem, rzuciła na trawnik
Z ramion, swój szal powiewny, czerwony jak krwawnik,
I podobna pływaczce, która do kąpieli
Zimnéj schyla się, nim się zanurzyć ośmieli,
Klęknęła i powoli chyliła się bokiem;
Wreszcie, jakby porwana koralu potokiem,
Upadła nań i cała wzdłuż się rospostarła,
Łokcie na trawie, skronie na dłoniach oparła,
Z głową na dół skłonioną; na dole u głowy,
Błysnął francuskiéj książki papier welinowy;
Nad alabastrowemi stronicamy księgi,
Wiły się czarne pukle i różowe wstęgi.

W szmaragdzie bujnych traw, na krwawnikowym
szalu,
W sukni długiéj, jak gdyby w powłoce koralu,
Od któréj odbijał się włos z jednego końca,
Z drugiego czarny trzewik; po bokach błyszcząca
Sniężną pończoszką, chustką, białością rąk, lica,
Wydawała się zdala jak pstra gąsienica,
Gdy wpełźnie na zielony liść klonu.

Niestety!
Wszystkie tego obrazu wdzięki i zalety,
Darmo czekały znawców, nikt niezważał na nie,
Tak mocno zajmowało wszystkich grzybo-branie.
Tadeusz przecież zważał i w bok strzelał okiem,
I nieśmiejąc iść prosto, przysuwał się bokiem:
Jak strzelec gdy w ruchoméj, gałęzistéj szopie,
Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na dropie,
Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,
Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,
Niby to bronę włóczy, niby idzie miedzą,
A coraz się przybliża kędy ptaki siedzą;
Tak skradał się Tadeusz.

Sędzia czaty zmieszał
I przeciąwszy mu drogę, do źródła pośpieszał.

Z wiatrem igrały białe poły szarafana,
I wielka chustka w pasie końcem uwiązana;
Słomiany, podwiązany kapelusz, od ruchu
Nagłego chwiał się z wiatrem jako liść łopuchu,
Spadając to na barki, to znowu na oczy;
W ręku ogromna laska: tak Pan Sędzia kroczy.
Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,
Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu,
I wsparłszy się oburącz na gałkę słoniową
Trzciny ogromnéj, s taką ozwał się przemową.

Widzi Aśćka od czasu jak tu u nas gości
Tadeuszek, niemało mam niespokojności;
Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyna,
Wszakto moja na świecie pociecha jedyna,
Przyszły dziedzic fortunki mojéj. Z łaski nieba
Zostawię mu kęs niezły szlacheckiego chleba;
Już mu też czas obmyśleć los, postanowienie:
Ale ważajno Aśćka moje utrapienie!
Wiesz że Pan Jacek brat mój, Tadeusza ociec
Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec,
Niechce wracać do kraju, Bóg wié gdzie się kryje,
Nawet niechce synowi oznajmić że żyje,
A ciągle nim zarządza. Naprzód w legiony
Chciał go posyłać; byłem okropnie zmartwiony.

Potém zgodził się przecie by w domu pozostał
I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;
Partyę upatrzyłem; nikt z obywateli
Niewyrówna z imienia ani z parenteli
Podkomorzemu; jego starsza córka Anna
Jest na wydaniu, piękna i posażna Panna.
Chciałem zagaić. — Na to Telimena zbladła,
Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.

Jak Mamę kocham, rzekła, czy to Panie bracie
Jest w tém sens jaki, czy wy Boga w sercu macie?
To myślisz Tadeusza zostać Dobrodziejem,
Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem!
Świat mu zawiążesz! wierz mi, kląć was kiedyś będzie!
Zakopać taki talent w lasach i na grzędzie!
Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecie,
Warto, żeby na wielkim przetarło się świecie;
Dobrze brat zrobi gdy go do stolicy wyśle;
Naprzykład do Warszawy? lub wié brat co myślę,
Żeby do Peterburka? Ja pewnie téj zimy
Pojadę tam dla sprawy; razem ułożymy
Co zrobić s Tadeuszem; znam tam wiele osób,
Mam wpływy: to najlepszy kreacyi sposób,
Za mą pomocą znajdzie wstęp w najpierwsze domy,
A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,

Dostanie urząd, order; wtenczas niech porzuci
Służbę, jeżeli zechce niech do domu wróci,
Mając już i znaczenie i znajomość świata.
I cóż brat myśli o tém? — Jużci w młode lata,
Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,
Obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzéć;
Ja za młodu niemało świata objechałem,
Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem
Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy
Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.
Człek niemało skorzystał! chciałbym i synowca
Wysłać pomiędzy ludzie, prosto jak wędrowca,
Jak czeladnika który terminuje lata
Ażeby nabył trochę znajomości świata.
Nie dla rang, ni orderów! proszę uniżenie,
Ranga moskiewska, order, cóż to za znaczenie?
Któryż to z dawnych Panów, ba nawet dzisiejszych,
Między szlachtą w powiecie nieco zamożniejszych,
Dba o podobne fraszki; przecież są w estymie
U ludzi, bo szanujem w nich ród, dobre imie,
Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem
Obywatelskim, nie zaś czyimś tam faworem. —

Telimena przerwała: „Jeśli brat tak myśli,
Tém lepiej, więc go jako wojażera wyślij.“

Widzi siostra, rzekł Sędzia, skrobiąc smutnie głowę,
Chciałbym bardzo, cóż kiedy mam trudności nowe!
Pan Jacek niewypuszcza z opieki swéj syna,
I przysłał mi tu właśnie na kark Bernardyna
Robaka, który przybył s tamtéj strony Wisły,
Przyjaciel brata, wszystkie wié jego zamysły;
A więc o Tadeusza już wyrzekli losie,
I chcą by się ożenił aby pojął Zosię,
Wychowankę Wać Pani; oboje dostaną,
Oprocz fortunki mojéj, z łaski Jacka wiano
W kapitałach; wiesz Aśćka że ma kapitały
I z łaski jego mam też fundusz prawie cały,
Ma więc prawo rozrządzać — Aśćka pomyśl o tém
Żeby się to zrobiło najmniejszym kłopotem;
Trzeba ich s sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,
Szczególnie Zosia mała, lecz to nic nieszkodzi;
Czasby już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia,
Bo wszakci to już pono wyrasta z dziecięcia.

Telimena zdziwiona i prawie wylękła,
Podnosiła się coraz, na szalu uklękła,
Zrazu słuchała pilnie, potém dłoni ruchem
Przeczyła, ręką żwawo wstrząsając nad uchem,
Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa
Na powrót w usta mówcy —

„A! A! to rzecz nowa!
Czy to Tadeuszowi szkodzi czy nieszkodzi,
Rzekła z gniewem, sądź o tém sam W Pan Dobrodziéj,
Mnie nic do Tadeusza, sami o nim radźcie,
Zróbcie go ekonomem, lub w karczmie posadźcie,
Niech szynkuje lub z lasu niech źwierzynę znosi:
Z nim sobie co zechcecie zróbcie; lecz do Zosi?
Co Wać Państwu do Zosi? ja jéj ręką rządzę,
Ja sama. Że Pan Jacek dawał był pieniądze
Na wychowanie Zosi i że jéj wyznaczył
Małą pensyjkę roczną, więcej przyrzec raczył;
Toć jej jeszcze niekupił. Z resztą Państwo wiecie,
I dotąd jeszcze o tém wiadomo na świecie,
Że hojność Państwa dla nas nie jest bez powodu,
Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu.“
(Téj części mowy Sędzia słuchał z niepojętém
Pomieszaniem, żałością i widocznym wstrętem;
Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił,
I ręką potakując, mocno się zapłonił.)

Telimena kończyła: byłam jéj piastunką,
Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.
Nikt oprócz mnie niebędzie myślił o jéj szczęściu —
A jeśli ona szczęście znajdzie w tém zamęściu?
Rzekł Sędzia, wzrok podnosząc; jeśli Tadeusza

Podoba? — Czy podoba? to na wierzbie gruszka;
Podoba, niepodoba, a to mi rzecz ważna!
Zosia niebędzie, prawda, partya posażna,
Ale też niejest z lada wsi, lada szlachcianka,
Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,
Rodzi się z Horeszkówny; małżonka dostanie!
Staraliśmy się tyle o jéj wychowanie!
Chybaby tu zdziczała — Sędzia pilnie słuchał
Patrząc w oczy; zdało się że się udobruchał,
Bo rzekł dosyć wesoło: no to i cóż robić,
Bóg widzi, szczérze chciałem interessu dobić;
Tylko bez gniewu, jeśli Aśćka się niezgodzi,
Aśćka ma prawo; smutno — gniewać się nie godzi;
Radziłem bo brat kazał, nikt tu nieprzymusza;
Gdy Aśćka rekuzuje Pana Tadeusza,
Odpisuję Jackowi że nie z mojéj winy,
Niedojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny.
Teraz sam będę radzić; pono s Podkomorzym
Zagaimy swatostwo i resztę ułożym.

Przez ten czas Telimena ostygła z zapału:
„Ja nic nierekuzuję, braciszku, pomału!
Sam mówiłeś że jeszcze zawczesnie — zbyt młodzi —
Rospatrzmy się, czekajmy, nic to niezaszkodzi,
Poznajmy s sobą Państwo młodych; będziem zważać,

Niemożna szczęścia drugich tak na traf narażać:
Ostrzegam tylko wcześnie, niech brat Tadeusza
Nienamawia, kochać się w Zosi nieprzymusza,
Bo serce niejest sługa, niezna co to pany,
I nieda się przemocą okuwać w kajdany. —

Zaczém Sędzia powstawszy odszedł zamyślony;
Pan Tadeusz s przeciwnéj przybliżył się strony,
Udając że szukanie grzybów tam go zwabia;
W tymże kierunku zwolna posuwa się Hrabia.

Hrabia podczas Sędziego sporów s Telimeną
Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną;
Dobył s kieszeni papier i ołówek, sprzęty
Które zawsze miał s sobą, i na pień wygięty
Rospiąwszy kartkę, widać że obraz malował,
Mówiąc sam s sobą: Jakbyś umyślnie grupował,
Ten na głazie, ta w trawie, grupa malownicza!
Głowy charakterowe! s kontrastem oblicza!

Podchodził, wstrzymywał się, lornetkę przecierał,
Oczy chustką obwiewał i coraz spozierał —
Miałożby to cudowne, śliczne widowisko
Zginąć albo zmienić się gdy podejdę blisko?
Ten aksamit traw, będzież to mak i botwinie?
W Nimfie téj czyż obaczę jaką ochmistrzynię?

Choć Hrabia Telimenę już dawniéj widywał
W domu Sędziego, w którym dosyć często bywał,
Lecz mało ją uważał; zadziwił się z razu,
Rozeznając w niéj model swojego obrazu.
Miejsca piękność, postawy wdzięk i gust ubrania,
Zmieniły ją, zaledwo była do poznania.
W oczach świeciły jeszcze niezagasłe gniewy;
Twarz ożywiona wiatru świeżemi powiewy,
Sporem s Sędzią i nagłym przybyciem młodzieńców,
Nabrała mocnych, żywszych niż zwykle rumieńców.

Pani, rzekł Hrabia, racz méj śmiałości darować,
Przychodzę i przepraszać i razem dziękować.
Przepraszać, że jéj kroków śledziłem ukradkiem;
I dziękować, że byłem jéj dumania świadkiem;
Tyle ją obraziłem! winienem jéj tyle!
Przerwałem chwilę dumań: winienem ci chwile
Natchnienia! chwile błogie! potępiaj człowieka,
Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!
Na wielem się odważył, na więcéj odważę!
Sądź! tu ukląkł i podał swoje peizaże.

Telimena sądziła malowania proby
Tonem grzecznéj lecz sztukę znającéj osoby;
Skąpa w pochwały lecz nieszczędziła zachętu,

Brawo, rzekła, winszuję, niemało talentu.
Tylko Pan niezaniedbuj; szczególniéj potrzeba
Szukać pięknéj natury! O szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
Wy klassyczne Tyburu spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
To Hrabio kraj malarzów! u nas żal się Boże.
Dziecko muz w Soplicowie oddane na mamki
Umrze pewnie. Mój Hrabio, oprawię to w ramki,
Albo w Album umieszczę do rysunków zbiorku,
Które zewsząd skupiałam: mam ich dosyć w biorku.

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,
Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiéch i urąganie się nad oyczystym krajem.

A przecież w około nich ciągnęły się lasy
Litewskie! tak poważne, i tak pełne krasy! —
Czeremchy oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
Leszczyna jak menada z zielonemi berły,
Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
A niżéj dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna czarne usta tuląca do malin.

Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce,
W koło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem,
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.
A daléj jakby starce na dzieci i wnuki
Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,
Tam matrony topole, i mechami brodaty
Dąb włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich skamieniałych trupach.

Pan Tadeusz kręcił się nudząc niepomału
Długą rozmową, w któréj niemogł brać udziału;
Aż gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje,
I wyliczać s kolei wszystkich drzew rodzaje:
Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,
Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,
Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,
Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,
Tadeusz nieprzestawał dąsać się i zżymać,
Nakoniec niemógł dłużéj od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:

„Widziałem w botanicznym Wileńskim ogrodzie,
Owe sławione drzewa rosnące na wschodzie
I na południu, w owéj pięknéj Włoskiéj ziemi;
Któreż równać się może z drzewami naszemi?
Czy aloes z długiemi jak konduktor pałki?
Czy cytryna karlica z złocistemi gałki?
Z liściem lakierowanym krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy!
Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy;
Mówią że bardzo smutnie wygląda na grobie,
Jest to jak lokaj niemiec we dworskiéj żałobie,
Nieśmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
Aby się etykiecie niczém niesprzeciwić.

Czyż nie piekniejsza nasza, poczciwa brzezina,
Która, jako wieśniaczka kiedy płacze syna
Lub wdowa męża, ręce załamie, rostoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!
Czemuż Pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
Niemaluje drzew naszych pośród których siedzi?
Prawdziwie, będą s Pana żartować sąsiedzi,
Że mieszkając na żyznéj Litewskiéj równinie,
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie.

Przyjacielu! rzekł Hrabia, piękne przyrodzenie
Jest formą tłem, materyą, a duszą natchnienie
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
Niedość jest przyrodzenia, niedosyć zapału,
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
Niewszystko co jest piękne wymalować da się!
Dowiesz się o tém wszystkiem s książek w swoim czasie.
Co się tycze malarstwa: do obrazu trzeba
Punktów widzenia, grupy, ansemblu i nieba,
Nieba włoskiego! stąd też w kunscie peizażów,
Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów.
Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle
Ale pejzażysty (bo są dwaj Brejgele)
J oprócz Ruisdalla, na całéj północy
Gdzież był pejzażysta który pierwszéj mocy?
Niebios, niebios potrzeba. — Nasz malarz Orłowski,
Przerwała Telimena, miał gust Soplicowski.
(Trzeba wiedzieć że to jest Sopliców choroba,
Że im oprócz Ojczyzny nic się niepodoba)
Orłowski który życie strawił w Peterburku,
Sławny malarz, (mam jego kilka szkiców w biórku)
Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raju,
A nieuwierzy Hrabia jak tęsknił po kraju,

Lubił ciągle wspominać swéj młodości czasy,
Wystawiał wszystko w Polszcze: ziemię, niebo, lasy...

I miał rozum, zawołał Tadeusz z zapałem:
Te państwa niebo Włoskie, jak o niém słyszałem,
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda;
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów s saméj gry obłoków!
Bo każda chmura inna: naprzykład jesienna
Pełźnie jak żółw' leniwa, ulewą brzemienna,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi
Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi.
Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,
Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać w koło: nawet te codzienne,
Patrzcie Państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Z razu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A s tyłu wiatr jak sokoł do kupy je pędzi:
Sciskają się, grubieją, rosną, nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rospuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie
Przelatują jak tabun rumaków po stepie:
Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się — nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,

Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnéj rowninie!

Hrabia i Telimena poglądali w górę;
Tadeusz jedną ręką pokazał im chmurę,
A drugą ścisnął zlekka rączkę Telimeny;
Kilka już upłynęło minut cichéj sceny;
Hrabia rozłożył papier na swym kapeluszu,
I wydobył ołówek: wtém przykry dla uszu
Odezwał się dzwon dworski, i zaraz śród lasu
Głuchego, pełno było krzyku i hałasu.

Hrabia kiwnąwszy głową, rzekł poważnym tonem:
Tak to na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem.
Rachunki myśli wielkiéj, plany wyobraźni,
Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,
Wylania się serc czułych! gdy śpiż zdala ryknie,
Wszystko miesza się, zrywa, mąci się i niknie!
Tu obróciwszy czuły wzrok ku Telimenie,
„Coż zostaje?“ a ona mu rzekła: „wspomnienie“
I chcąc Hrabiego nieco ułagodzić smutek,
Podała mu urwany kwiatek niezabudek.
Hrabia go ucałował i na pierś przyśpilał,
Tadeusz z drugiéj strony krzak ziela roschylał,
Widząc że się ku niemu tém zielem przewija
Coś białego, była to rączka jak lilija:

Pochwycił ją, całował, i usty po cichu
Utonął w niéj jak pszczoła w lilii kielichu;
Uczuł na ustach zimno; znalazł klucz i biały
Papier w trąbkę zwiniony, był to listek mały;
Porwał, schował w kieszenie, niewié co klucz znaczy,
Lecz mu to owa biała kartka wytłumaczy.

Dzwon wciąż dzwonił, i echem z głębi cichych lasów
Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów;
Odgłos to był szukania i nawoływania,
Hasło zakończonego na dziś grzybo-brania,
Odgłos nie smutny wcale, ani pogrzebowy
Jak się Hrabiemu zdało, owszem obiadowy.
Dzwon ten w każde południe krzyczący s poddasza,
Gości i czeladź domu na obiad zaprasza:
Tak było w dawnych licznych dworach we zwyczaju,
I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju
Wychodziła gromada niosąca krobeczki,
Koszyki, uwiązane końcami chusteczki,
Pełne grzybów; a panny w jednym ręku niosły
Jako wachlarz zwiniony, borowik rozrosły,
W drugim związane razem, jakby polne kwiatki,
Opieńki, i rozlicznéj barwy Surojadki.
Wojski miał muchomora. S próżnemi przychodzi
Rękami Telimena, z nią Panicze młodzi.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem:
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży;
Obok stał kwestarz; Sędzia tuż przy bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,
Podano w kolej wódkę, zaczem wszyscy siedli,
I chołodziec litewski, milczkiem, żwawo jedli.

Obiadowano ciszéj niż się zwykle zdarza,
Nikt niegadał pomimo wezwań gospodarza.
Strony biorące udział w wielkiéj o psów zwadzie
Myśliły o jutrzejszéj walce i zakładzie;
Myśl wielka zwykle usta do milczenia zmusza.
Telimena mówiąca wciąż do Tadeusza,
Musiała ku Hrabiemu nieraz się odwrócić,
Nawet na Assessora nieraz okiem rzucić:
Tak ptasznik patrzy w sidło kędy szczygły zwabia
I razem w pastkę wróblą. Tadeusz i Hrabia
Obadwa radzi s siebie, obadwa szczęśliwi,
Oba pełni nadziei, więc niegadatliwi.
Hrabia na kwiatek dumne opuszczczał wejrzenie
A Tadeusz ukradkiem spozierał w kieszenie
Czy ów kluczyk nieuciekł, ręką nawet chwytał
I kręcił kartkę któréj dotąd nieprzeczytał.

Sędzia Podkomorzemu węgrzyna, szampana
Dolewał, służył pilnie, ściskał za kolana,
Ale do rozmawiania z nim niemiał ochoty
I widać, że czuł jakieś tajemne kłopoty.

Przemijały w milczeniu talerze i dania:
Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania
Gość niespodziany, szybko wpadając gajowy;
Niezważał nawet że czas właśnie obiadowy,
Podbiegł do Pana; widać s postawy i z miny
Że ważnéj, i niezwykłéj jest posłem nowiny.
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie,
On odetchnąwszy nieco, rzekł: Niedźwiedź Mospanie!
Resztę wszyscy odgadli; że zwierz z matecznika
Wyszedł, że w Zaniemeńską puszczę się przemyka,
Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,
Choć ani się radzili, ani namyślali —
Spólną myśl widać było z uciętych wyrazów,
Z gestów żywych, z wydanych rozlicznych rozkazów,
Które wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu
Dążyły przecież wszystkie do jednego celu.

Na wieś! zawołał Sędzia, hej konno, setnika,
Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika;
Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny
Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny.

Wskok, krzyknął Podkomorzy, okulbaczyć siwą,
Dobiedz w cwał do mojego dworu; wziąć co żywo
Dwie pijawki, które w całéj okolicy słyną,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;
Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu
J przystawić ie tutaj konno dla pośpiechu.
„Wańka! krzyknął na chłopca Assessor po rusku,
Tasak mój Sanguszkowski pociągnąć na brusku:
Wiesz, tasak co od Księcia miałem w podarunku;
Pas opatrzyć, czy kula jest w każdym ładunku.
„Strzelby, krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu.
Assessor wołał ciągle ołowiu, ołowiu!
Formę do kul mam w torbie. — Do Księdza Plebana
Dać znać, dodał Pan Sędzia, żeby jutro z rana
Mszę miał w kaplicy leśnéj; króciuchna offerta
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta.

Po wydanych roskazach nastało milczenie;
Każdy dumał i rzucał do koła wejrzenie,
Jak gdyby kogoś szukał; zwolna wszystkich oczy
Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:
Znak to był że szukają na przyszłą wyprawę
Wodza, i że Wojskiemu oddają buławę.
Wojski powstał, zrozumiał towarzyszów wolę,
I uderzywszy ręką poważnie po stole,

Pociągnął złocistego z zanadrza łańcuszka,
Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka.
Jutro rzekł, pół do piątéj, przy leśnéj kaplicy
Stawią się bracia strzelcy, wiara obławnicy.

Rzekł i ruszył od stołu, za nim szedł gajowy;
Oni obmyślić mają i urządzić łowy.

Tak wodze gdy na jutro bitwę zapowiedzą,
Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,
Lub na płaszczach i siodłach śpią próżni kłopotu;
A wodze śród cichego dumają namiotu.

Przerwał się obiad, dzień sszedł na kowaniu koni,
Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni,
U wieczerzy zaledwo kto przysiadł do stoła;
Nawet strona Kusego s partyą Sokoła,
Przestała dawnym wielkim zatrudniać się sporem:
Pobrawszy się pod ręce Rejent z Assessorem
Wyszukują ołowiu. Reszta spracowana
Szła spać wcześnie, żeby przebudzić się z rana.

Księga Czwarta.

DYPLOMATYKA
I ŁOWY.

TREŚĆ.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza — Zapóźne postrzeżenie omyłki — Karczma — Emissaryusz — Zręczne użycie tabakiery zwraca dyskussye na właściwą drogę — Matecznik — Niedźwiedź — Niebezpieczeństwo Tadeusza i Hrabiego — Trzy strzały — Spór Sagalasówki s Sanguszkówką rosstrzygniony na stronę jednorórki Horeszkowskiéj — Bigos — Wojskiego powieść o pojedynku Doweiki z Domejką, przerwana szczuciem kota — Koniec powieści o Dowejce i Domejce.

Rowienniki Litewskich wielkich kniaźiów, drzewa
Białowieży, Switezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy,
I Giedymina, kiedy na Ponarskiéj górze
Przy ognisku myśliwskiem, na niedźwiedziéj skórze

Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Wilii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany marzył o wilku żelaznym;
I zbudzony, za bogów roskazem wyraźnym
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.
S tego to miasta Wilna, jak z Rzymskiéj wilczycy
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie źwierze.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów,
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy
Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy
Bym was oglądał znowu przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecie;
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
Wiekami wydrążonym jakby w dobrym domie,
Dwónastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?

I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jéj cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka, lub rządowa, moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku, ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła,
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem o domowe drzewa!
Błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy,
Za chybioną źwierzynę, ileż w waszéj ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie
Zapomniawszy o łowach usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się, tu mech siwobrody,
Zlany granatam czarnéj, zgniecionéj jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki —
W około była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury,
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,

Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
Dziwny, odurzający hałas! mnie się zdało
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast: tu wywrot dębu
Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu,
Na nim oparte jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw: w środek tarasu
Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Na pół zgryzione, jakichś nieostróżnych gości.
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa źwierz żółtawym pasem,
Jak promień kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie,
Stuka z lekka i daléj odlatuje, ginie,
Schował się, ale dziobem nieprzestaje pukać,
Jak dziecko gdy schowane, woła by go szukać.
Bliżéj siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma.
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera;
Chociaż tak osłoniona, do koła spoziera,

Dostrzegłszy gościa skacze gajów tanecznica,
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;
Nakoniec w niewidzialny otwor pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzime Driada.
Znowu cicho.

W tém gałąź wstrzęsła się trącona,
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,
Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica,
To jagod lub orzechów zbieraczka dziewica;
W krobeczce s prostéj kory, podaje zebrane
Bruśnice świeże, jako jéj usta rumiane;
Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina,
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

W tém usłyszeli odgłos rogów i psów granie,
Zgadują że się ku nim zbliża polowanie,
J pomiędze gałęzi gęstwę, pełni trwogi
Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.

W Soplicowie ruch wielki: lecz ni psów hałasy,
Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,
Ni odgłos trąb dających hasło polowania,
Nie mogły Tadeusza wyciągnąć s posłania;
Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.

Nikt z młodzieży niemyślił szukać go po dworze,
Każdy sobą zajęty, śpieszył gdzie kazano:
O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.

On chrapał: słońce w otwór, co śród okienicy
Wyrznięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy
Słupem ognistym, prosto sennemu na czoło;
On jeszcze chciał zadrzemać i kręcił się w koło
Chroniąc się blasku, nagle usłyszał stuknienie,
Przebudził się; wesołe było przebudzenie.
Czuł się rzeźwym jak ptaszek, z lekkością oddychał,
Czuł się szczęśliwym, sam się do siebie uśmiechał:
Myśląc o wszystkiém co mu wczora się zdarzyło,
Rumienił się, i wzdychał, i serce mu biło.

Spojrzał w okno, o dziwy! w promieni przezroczu,
W owém sercu, błyszczało dwoje jasnych oczu,
Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzenie
Kiedy z jasności dziennéj przedziera się w cienie;
Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz z boku
Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku,
Palce drobne zwrócone na światło różowe,
Czerwieniły się na wskróś jakby rubinowe;
Usta widział ciekawe, rostulone nieco,
I ząbki, co jak perły śród koralów świecą,

I lica, choć od słońca zasłaniane dłonią
Różową, same całe jak róże się płonią.

Tadeusz spał pod oknem; sam ukryty w cieniu
Leżąc nawznak cudnemu dziwił się zjawieniu,
I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy,
Nie wiedział czy to jawa, czyli mu się marzy
Jedna s tych miłych, jasnych twarzyczek dziecinnych,
Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych.
Twarzyczka schyliła się — ujrzał, drżąc z bojaźni
I radości, niestety! ujrzał najwyraźniéj,
Przypomniał, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,
W drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty,
Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku
Świeciły się jak korona na świętych obrasku.

Zerwał się; i widzenie zaraz uleciało
Przestraszone łoskotem; czekał, niewracało!
Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie
I słowa: „Niech Pan wstaje, czas na polowanie.
Pan zaspał. „Skoczył z łóżka i obu rękami
Pchnął okienicę, że aż trzasła zawiasami
I rozwarłszy się w obie uderzyła sciany;
Wyskoczył, patrzył w koło, zdumiony, zmieszany,
Nic niewidział, nie dostrzegł niczyjego śladu:

Niedaleko od okna był parkan od sadu,
Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce
Chwiały się; czy je lekkie potrąciły ręce?
Czy wiatr ruszył? Tadeusz długo patrzył na nie,
Nieśmiał iść w ogród: tylko wsparł się na parkanie,
Oczy podniosł, i s palcem do ust przyciśnionym
Kazał sam sobie milczeć, by słowem kwapionêm
Nie rozerwał myślenia; potém w czoło stukał,
Niby do wspomnień dawnych uśpionych w niém pukał,
Nakoniec gryząc palce do krwi się zadrasnął,
I na cały głos — dobrze, dobrze mi tak! — wrzasnął.

We dworze, gdzie przed chwilą tyle było krzyku,
Teraz pusto i głucho, jak na mogilniku:
Wszyscy ruszyli w pole; Tadeusz nadstawił
Uszu, i ręce do nich jak trąbki przyprawił,
Słuchał, aż mu wiatr przyniosł wiejący od puszczy,
Odgłosy trąb i wrzaski polującéj tłuszczy.

Koń Tadeusza w stajni czekał osiodłany,
Wziął więc flintę, skoczył nań, i jak opętany
Pędził ku karczmom które stały przy kaplicy,
Kędy mieli się rankiem zebrać obławnicy.

Dwie chyliły się karczmy po dwóch stronach drogi,

Oknami wzajem sobie grożące jak wrogi;
Stara należy s prawa do zamku dziedzica,
Nową na złość zamkowi postawił Soplica.
W tamtéj, jak w swém dziedzictwie rej wodził Gerwazy,
W téj najwyższe za stołem brał miejsce Protazy.

Nowa karczma niebyła ciekawa s pozoru.
Stara wedle dawnego źbudowana wzoru,
Który był wymyślony od Tyryjskich cieśli,
A potém go żydowie po świecie rozniéśli:
Rodzaj architektury, obcym budowniczym
Wcale nieznany; my go od żydów dziedziczym.

Karczma s przodu jak korab', s tyłu jak świątynia:
Korab', istna Noego czworogranna skrzynia,
Znany dziś pod prostackiém nazwiskiem stodoły;
Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,
Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady,
I płazów choć po parze, są też i owady.
Część tylnia nakształt dziwnéj świątyni stawiona
Przypomina s pozoru ów gmach Salomona,
Który pierwsi ćwiczeni w budowań rzemieśle
Hiramscy na Syonie wystawili cieśle.
Żydzi go naśladują dotąd w swych szkołach,
A szkół rysunek widny w karczmach i stodołach.

Dach z dranic i ze słomy, śpiczasty, zadarty,
Pogięty jako kołpak żydowski podarty.
Ze szczytu wytryskują krużganku krawędzie,
Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie;
Kolumny, co jest wielkie architektów dziwo,
Trwałe, chociaż wpół zgniłe, i stawione krzywo
Jako w wieży Pizańskiej, nie podług modelów
Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.
Nad kolumnami biegą wpółokrągłe łuki,
Także z drzewa, gotyckiéj naśladowstwo sztuki.
Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłótem,
Ale zręcznie ciesielskim wyrzezane sklutem,
Krzywe jak szabasowych ramiona świeczników;
Na końcu wiszą gałki, cóś nakształt guzików,
Które żydzi modląc się na łbach zawieszają,
I które po swojemu, cyces nazywają.
Słowem zdaleka karczma chwiejąca się, krzywa,
Podobna jest do żyda, gdy się modląc kiwa;
Dach jak czapka, jak broda strzecha rostrzęśniona,
Sciany dymne i brudne jak czarna opona,
A s przodu rzeźba sterczy jak cyces na czole.

W środku karczmy jest podział jak w żydowskiéj szkole,
Jedna część pełna izbic ciasnych i podłużnych,
Służy dla dam wyłącznie i panów podróżnych;

W drugiéj ogromna sala. Koło każdéj ściany
Ciągnie się wielonożny stół wąski drewniany,
Przy nim stołki choć niższe, podobne do stoła,
Jako dzieci do ojca.

Na stołkach do koła
Siedziały chłopy, chłopki, tudzież szlachta drobna,
Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.
Po rannéj mszy s kaplicy, że była niedziela,
Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.
Przy każdym już szumiała siwą wódką czarka,
Po nad wszystkimi z butlą biegała szynkarka.
W środku arędarz Jankiel, w długim aż do ziemi
Szarafanie zapiętym haftkami srebrnemi,
Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,
Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził;
Rzucając w koło okiem roskazy wydawał,
Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał
Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,
Lecz nie służył nikomu; tylko się przechadzał.
Żyd stary i powszechnie znany s poczciwości,
Od lat wielu dzierżawił karczmę, a nikt z włości
Nikt ze szlachty niezaniosł nań skargi do dworu;
O cóż skarżyć? miał trunki dobre do wyboru,
Rachował się ostróżnie lecz bez oszukaństwa,

Ochoty niezabraniał, nie cierpiał pijaństwa:
Zabaw wielki miłośnik; u niego wesele
I chrzciny obchodzono; on w każdą niedzielę
Kazał do siebie ze wsi przychodzić muzyce,
Przy któréj i basetla była i kozice.

Muzykę znał, sam słynął muzycznym talentem;
S cymbałami, narodu swego instrumentem,
Chadzał niegdyś po dworach i graniem zdumiewał
I pieśniami, bo biegle i uczenie śpiewał.
Chociaż żyd dosyć czystą miał polską wymowę,
Szczególniéj zaś polubił pieśni narodowe;
Przywoził mnóstwo s każdéj za Niemen wyprawy,
Kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy;
Wieść, niewiem czyli pewna, w całéj okolicy
Głosiła, że on pierwszy przywiozł z zagranicy
I upowszechnił wówczas, w tamecznym powiecie,
Ową piosenkę, sławną dziś na całym świecie,
A którą po raz pierwszy na ziemi Auzonów
Wygrały Włochom polskie trąby legionów.
Talent spiewania bardzo na Litwie popłaca,
Jedna miłość u ludzi, wsławia i wzbogaca:
Jankiel zrobił majątek; syt zysków i chwały
Zawiesił dźwięcznostronne na scianie cymbały;
Osiadłszy z dziećmi w karczmie, zatrudniał się szynkiem,

Przy tém w pobliskiém mieście był też podrabinkiem,
A zawsze miłym wszędzie gościem, i domowym
Doradzcą; znał się dobrze na handlu zbożowym,
Na wicinnym: potrzebna jest znajomość taka
Na wsi. — Miał także sławę dobrego Polaka.

On pierwszy zgodził kłótnie często nawet krwawe
Między dwiema karczmami, obie wziął w dzierżawę;
Szanowali go równie i starzy stronnicy
Horeszkowscy i słudzy sędziego Soplicy.
On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym
Klucznikiem Horeszkowskim i kłótliwym Woźnym;
Przed Jankielem tłumili dawne swe urazy,
Gerwazy groźny ręką, językiem Protazy.

Gerwazego niebyło; ruszył na obławę,
Niechcąc aby tak ważną i trudną wyprawę
Odbył sam Hrabia, młody i niedoświadczony;
Poszedł więc z nim dla rady, tudzież dla obrony.

Dziś miejsce Gerwazego najdalsze od progu,
Między dwiema ławami, w samym karczmy rogu,
Zwane pokuciem, kwestarz ksiądz Robak zajmował;
Jankiel go tam posadził; widać że szanował
Wysoko Bernardyna, bo skoro dostrzegał

Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał
I roskazał dolewać lipcowego miodu.
Słychać, że z Bernardynem znali się za młodu
Kędyś tam w cudzych krajach. Robak często chadzał
Nocą do karczmy, tajnie z żydem się naradzał
O ważnych rzeczach; słychać było że towary
Ksiądz przemycał, lecz potwarz ta niegodna wiary.

Robak wsparty na stole, wpółgłośno rosprawiał,
Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,
I nosy ku księdzowskiéj chylił tabakierze;
Brano z niéj, i kichała szlachta jak moździerze.

„Rewerendissime, rzekł kichnąwszy Skołuba,
To mi tabaka, co to idzie aż do czuba;
Od czasu jak nos dźwigam (tu głasnął nos długi)
Takiéj niezażywałem (tu kichnął raz drugi)
Prawdziwa Bernardynka, pewnie s Kowna rodem,
Miasta sławnego w świecie tabaką i miodem.
Byłem tam lat już — Robak przerwał mu „na zdrowie
Wszystkim Waszmościom, moi Mościwi Panowie;
Co się tabaki tyczy, hem, ona pochodzi
Z dalszéj strony niż myśli Skołuba Dobrodziéj;
Pochodzi z Jasnéj Góry; Xiężą Paulinowie
Tabakę taką robią w mieście Częstochowie,

Kędy jest obraz tylu cudami wsławiony,
Bogarodzicy Panny, Królowéj korony
Polskiéj; zowią ją dotąd i Księżną Litewską!
Koronęć jeszcze dotąd piastuje królewską,
Lecz na Litewskiém Księstwie teraz syzma siedzi!"
— S Częstochowy? rzekł Wilbik, byłem tam u spowiedzi,
Kiedym na odpust chodził lat temu trzydzieście;
Czy to prawda że Francuz gości teraz w mieście,
Że chce kościoł rozwalać, i skarbiec zabierze,
Bo to wszystko w Litewskim stoi Kurierze?
— Nieprawda rzekł Bernardyn, nie, Pan Najjaśniejszy
Napoleon katolik jest najprzykładniejszy;
Wszak go papież namaścił, żyją s sobą w zgodzie
I nawracają ludzi w francuskim narodzie,
Który się trochę popsuł; prawda s Częstochowy
Oddano wiele srebra na skarb narodowy
Dla Ojczyzny, dla Polski, sam Pan Bóg tak każe,
Skarbcem Ojczyzny zawsze są jego ołtarze;
Wszakże w Warszawskiém Księstwie mamy sto tysięcy
Wojska polskiego, może wkrótce będzie więcéj,
A któż wojsko opłaci? czy nie wy Litwini,
Wy tylko grosz dajecie do Moskiewskiéj skrzyni.
— Kat by dał, krzyknął Wilbik, gwałtem od nas biorą,
— Oj dobrodzieju, chłopek ozwał się s pokorą,

Pokłoniwszy się księdzu i skrobiąc się w głowę,
Już to szlachcie, to jeszcze bieda przez połowę,
Lecz nas drą jak na łyka — Cham, Skołuba krzyknął,
Głupi, tobieć to lepiéj, tyś chłopie przywyknął
Jak węgórz do odarcia: lecz nam urodzonym,
Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwyczajonym!
Ach bracia! wszak to dawniéj szlachcic na zagrodzie!
—(Tak, tak, krzyknęli wszyscy: równy wojewodzie!)
Dziś nam szlachectwa przeczą, każą nam drabować
Papiery, i szlachectwa papierem probować.
— Jeszcze Waszeci mniejsza, zawołał Juraha,
Waszeć s pradziadów chłopów uszlachcony szlaha,
Ale ja, s kniaziów! pytać u mnie o patenta,
Kiedym został szlachcicem? sam Bóg to pamięta!
Niechaj Moskal w las idzie pytać się dębiny
Kto jéj dał patent rosnąć nad wszystkie krzewiny.
— Kniaziu, rzekł Żagiel, świeć Waść baki lada komu'
Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu.
— Waść ma krzyż w herbie, wołałPodhajski, to skryta
Aluzya, że w rodzie bywał neofita.
— Fałsz przerwał Birbarz, przecież ja s tatarskich Hrabiów
Pochodzę, a mam krzyże nad herbem korabiów.
— Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu złotém,
Herb Książęcy, Stryjkowski gęsto pisze o tém.

Za czém wielkie powstały w całéj karczmie szmery;
Ksiądz Bernardyn uciekł się do swéj tabakiery,
W koléj częstował mówców, gwar zaraz ucichnął,
Każdy zażył przez grzeczność i kilkakroć kichnął;
Bernardyn korzystając s przerwy, mówił daléj:
— Oj wielcy ludzie od téj tabaki kichali!
Czy uwierzycie Państwo, że s téj tabakiery,
Pan jenerał Dąbrowski zażył razy cztery?
— Dąbrowski? zawołali — Tak, tak, on jenerał;
Byłem w obozie gdy on Gdańsk Niemcom odbierał,
Miał coś pisać, bojąc się ażeby nie zasnął,
Zażył, kichnął, dwakroć mię po ramieniu klasnął;
Księże Robaku mówił, Księże Bernardynie,
Obaczymy się w Litwie może nim rok minie,
Powiedz Litwinom niech mnie czekają s tabaką
Częstochowską, niebiorę innéj tylko taką.

Mowa Księdza wzbudziła takie zadziwienie,
Taką radość, że całe huczne zgromadzenie
Milczało chwilę; potém napół ciche słowa
Powtarzano: tabaka s Polski? Częstochowa?
Dąbrowski? z ziemi włoskiéj? aż nakoniec razem,
Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem,
Wszyscy jednogłośnie jak na dane hasło
Krzyknęli: Dąbrowskiego! wszystko razem wrzasło,

Wszystko się uścisnęło: chłop s tatarskim Hrabią,
Mitra s Krzyżem, Poraje z Gryfem i s Korabią;
Zapomnieli wszystkiego, nawet Bernardyna,
Tylko śpiewali krzycząc: wódki, miodu, wina!

Długo się przysłuchiwał Ksiądz Robak piosence,
Nakoniec chciał ją przerwać; wziął w obiedwie ręce
Tabakierkę, kichaniem melodyę zmieszał,
I nim się nastroili, tak mówić pośpieszał:
Chwalicie mą tabakę Mości Dobrodzieje,
Obaczcież co się wewnątrz tabakierki dzieje.
Tu wycierając chustką zabrudzone denko,
Pokazał malowaną armią maleńką
Jak rój much; w środku jeden człowiek na rumaku,
Wielki jako chrząszcz siedział, pewnie wódz orszaku;
Spinał konia jak gdyby chciał skakać w niebiosa,
Jednę rękę na cuglach, drugą miał u nosa:
Przypatrzcie się, rzekł Robak, tej groźnéj postawie,
Zgadnijcie czyja? — Wszyscy patrzyli ciekawie, —
Wielki to człowiek, Cesarz, ale nie Moskali,
Ich Carowie tabaki nigdy niebierali.
— Wielki człowiek, zawołał Cydzik, a w kapocie?
Ja myśliłem że wielcy ludzie chodzą w złocie,
Bo u Moskalów lada jenerał Mospanie,
To tak świeci się w złocie, jak szczupak w szafranie;

— Ba, przerwał Rymsza; przecież widziałem za młodu
Kościuszkę, naczelnika naszego narodu:
Wielki człowiek! a chodził w krakowskiéj sukmanie,
To jest czamarce; — w jakiéj czamarce, Mospanie?
Odparł Wilbik, to przecież zwano taratatką;
— Ale tamta s fręzlami, ta jest całkiem gładką,
Krzyknął Mickiewicz; — za tém wszczynały się swary
O różnych taratatki kształtach i czamary.

Przemyślny Robak widząc, że się tak rospryska
Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska,
Do swojéj tabakiery; częstował, kichali,
Życzyli sobie zdrowia, on rzecz ciągnął daléj:
— Gdy Cesarz Napoleon w potyczce zażywa
Raz po raz, to znak pewny że bitwę wygrywa:
Naprzykład pod Austerlic; Francuzi tak stali
Z armatami, a na nich biegła ćma Moskali;
Cesarz patrzył i milczał; co Francuzi strzelą,
To Moskale półkami jak trawa się ścielą.
Pòłk za półkiem cwałował i spadał s kulbaki;
Co półk spadnie, to Cesarz zażyje tabaki;
Aż w końcu Alexander ze swoim braciszkiem
Konstantym, i z niemieckim cesarzem Franciszkiem,
W nogi s pola; więc Cesarz widząc że po walce,
Spojrzał na nich, zaśmiał się i otrząsnął palce.

Otoż jeśli kto s Panów coście tu przytomni
Będzie w wojsku Cesarza, niech to sobie wspomni.

Ach! zawołał Skołuba, mój księże kwestarzu!
Kiedyż to będzie! wszak to ile w kalendarzu!
Jest świąt, na każde święto Francuzów nam wróżą,
Wygląda człek, wygląda, aż się oczy mróżą,
A Moskal jak nas trzymał, tak trzyma za szyję,
Pono nim słońce wnidzie, rosa oczy wyje.

Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narzekać,
A żydowska rzecz ręce założywszy czekać
Nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka;
Z Napoleonem pobić Moskalów nie sztuka.
Już ci on Szwabom skórę trzy razy wymłócił,
Brzydkie Prusactwo zdeptał, Anglików wyrzucił
Het za morze, Moskalom zapewne wygodzi;
Ale co stąd wyniknie, wié Asan Dobrodziéj?
Oto szlachta Litewska wtenczas na koń wsiędzie
I szable weźmie, kiedy bić się s kim nie będzie;
Napoleon sam wszystkich pobiwszy, nareszcie
Powié, obejdę się ja bez was, kto jesteście?
Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić,
Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,
A przed ucztą potrzeba dom oczyścić s śmieci,

Oczyścić dom powtarzam, oczyścić dom, dzieci!
Nastąpiło milczenie, potém głosy w tłumie:
Jakże to dom oczyścić, jakto ksiądz rozumié?
Już ci my wszystko zrobim, na wszystko gotowi,
Tylko niech Ksiądz Dobrodziéj, jaśniéj się wysłowi.

Ksiądz poglądał za okno, przerwawszy rozmowę,
Ujrzał coś ciekawego, z okna wytknął głowę,
Po chwili rzekł powstając: dziś czasu niemamy,
Potém o tém obszerniéj s sobą pogadamy;
Jutro będę dla sprawy w powiatowém mieście
J do Waszmościów z drogi zajadę po kweście.

Niech też do Niehrymowa Ksiądz na nocleg zdąży,
Rzekł Ekonom, rad będzie Księdzu Pan Chorąży;
Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie:
Szczęśliwy człowiek, jako kwestarz w Niehrymowie!
I do nas rzekł Zubkowski, wstąp jeżeli łaska,
Znajdzie się tam półsztuczek płótna, masła faska,
Baran lub krówka, wspomnij księże na te słowa:
Szczęśliwy człowiek, trafił, jak ksiądz do Zubkowa.
I do nas rzekł Skołuba, do nas Terajewicz,
Żaden Bernardyn głodny nie wyszedł s Pucewicz.
Tak cała szlachta prośbą i obietnicami
Przeprowadzała Księdza; on już był za drzwiami.

On już pierwéj przez okno ujrzał Tadeusza
Którz leciał gościńcem, w cwał, bez kapelusza,
Z głową schyloną, bladém, posępném obliczem,
A konia ustawicznie bódł i kropił biczem.
Ten widok bardzo Księdza Bernardyna zmieszał,
Więc za młodzieńcem kroki szybkiemi pośpieszał
Do wielkiéj puszczy, która jako oko sięga
Czerniła się na całym brzegu widnokręga.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice:
Wieść tylko albo bajka wié co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłod, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiém męztwem,
Daléj spotkać się z większém masz niebezpieczeństwém;
Daléj co krok czychają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,

Tak głębokie że ludzie dna ich niedośledzą,
(Wielkie jest podobieństwo że djabły tam siedzą)
Woda tych studni sklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,
Od któréj drzewa w koło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa
Grzejąca się nad kotłem w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niéj są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
S których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niéj jak w arce Noego, s wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniéj para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory,
Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszcz imperatory.
Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry,

I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministry;
Daléj zaś jak podwładni szlachetni wassale,
Mięszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale.
Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,
Żyjący s pańskich stołów, dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź gdy zjadłszy zęby strawy nieprzeżuwa,
Jeleń zgrzybiały gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk gdy już posiwieje, sokoł gdy oślepnie,
Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz raniony
Lub chory, bieży umrzéć w swe ojczyste strony.
Stądto w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;

Jeszcze cywilizacją ludzką niepopsuci,
Nieznają praw własności która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennéj sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze co się w ogrójcu gnieździły,
Patrzyły na Adama nim się z nim skłóciły.
Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznéj ich okropności rażone widokiem,
Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
I długo potém ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki,
W języku swoim strzelcy zowią: **Mateczniki.**

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w Mateczniku siedział,

Nigdyby się o tobie Wojski niedowiedział;
Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,
Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność;
Wyszedłeś na brzeg puszczy gdzie się las przerzedził,
I tam zaraz leśniczy bytność twą wyśledził,
I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi;
Teraz Wojski z obławą, już od matecznika
Postawiwszy szeregi odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu
Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.

Cicho; — próżno myśliwi natężają ucha;
Próżno, jak najciekawszéj mowy, każdy słucha
Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka;
Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.
Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki,
A strzelcy obróciwszy do lasu dwórurki,
Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta:
Jako w twarzy lekarza wzrok przyjacioł czyta
Wyrok życia lub zgonu miłéj im osoby,
Tak strzelcy ufni w sztuki Wojskiego sposoby
Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi.
„Jest! jest! wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.

On słyszał! oni jeszcze słuchali — nareszcie,
Słyszą, jeden pies wrzasnął, potém dwa, dwadzieście,
Wszystkie razem ogary rospierzchnioną zgrają
Doławiają się, wrzeszczą, wpadli na trop, grają,
Ujadają: już nie jest to powolne granie
Psów goniących zająca, lisa albo łanie;
Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
To nie na ślad daleki ogary napadły,
Na oko gonią — nagle ustał krzyk pogoni,
Doszli zwierza — wrzask znowu, skowyt, — zwierz się broni
I zapewne kaleczy, śród ogarów grania
Słychać co raz to częściéj jęk psiego konania.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową
Wygiął się jak łuk na przod s wciśnioną w las głową,
Niemogą dłużéj czekać! już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszczę się wciska,
Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegał,
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,
Jeżeli z miejsca zejdzie dostanie w grzbiet smyczem.
Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu
W las pobiegli, trzy strzelby huknęły od razu,
Potém wciąż kanonada, aż głośniéj nad strzały

Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.
Ryk okropny! boleści, wściekłości, rospaczy;
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeż-
dżaczy
Grzmiały ze środka puszczy; strzelcy ci w las śpieszą,
Tamci kórki odwodzą a wszyscy się cieszą;
Jeden Wojski w żałości, krzyczy że chybiono.
Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną
Na przełaj zwierza między ostępem i puszczą;
A niedźwiedź odstraszony psów i ludzi tłuszczą,
Zwrócił się nazad w miejsca mniéj pilnie strzeżone
Ku polom, skąd już zeszły strzelcy rozstawione,
Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków
Wojski, Tadeusz, Hrabia s kilką obławników.

Tu las był rzadszy; słychać z głębi ryk, trzask łomu,
Aż z gęstwy jak s chmur wypadł niedźwiedź nakształt
gromu;
W koło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spojrzał w koło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo
Kręcąc nim jak maczugą, na prawo, na lewo;
Runął wprost na ostatnich strażników obławy,

Hrabię i Tadeusza: oni bez obawy
Stoją w kroku, na źwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnéj chmury;
Aż oba jednym razem pociągnęli kórki,
(Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwórurki;
Chybili; Niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony
Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu s pyska
Wielkiego czerwonego dwa rzędy kłów błyska,
I łapa s pazurami już się na łby spuszcza;
Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza
Zmykali; zwierz za nimi wspiął się, już pazury
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry,
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
Zdarłby mu czaszkę z mózgów jak kapelusz z głowy,
Gdy Assessor z rejentem wyskoczyli z boków,
A Gerwazy biegł s przodu o jakie sto kroków,
Z nim Robak, choć bez strzelby — i trzej w jednéj chwili
Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.
Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami,
I głową na dół runął, i czterma łapami
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemie
Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał: róg jak wicher, nie wstrzymanym dechem,
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelce, stali szczwacze zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt którym niegdyś w lasach słynął
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nię wpuścił i rospoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historja krótka:
Z razu odzew dźwięczący, rześki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzie niegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadął znowu; myśliłbyś że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,
Udając głosy zwierząt; to raz w wilczą szyję

Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje,
Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło,
Ryknął; potém beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowéj arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmnie znowu: jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało
Ile drzew tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą jak s choru do choru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz ciższa i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu
Roskrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałém, promienném,

Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatni znikające tony.
A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszono się zwolna, i oczy gawiedzi
Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi:
Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,
Piersiami w gęszczę trawy wplątany i wbity,
Rosprzestrzenił szeroko przedni krzyżem łapy,
Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,
Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;
Pijawki Podkomorzego dzierżą go pod uszy,
Z lewéj strony Strapczyna, a s prawéj zawisał
Sprawnik i dusząc gardziel krew czarną wysysał.

Zaczem Wojski rozkazał kij żelazny włożyć
Psom między żęby, i tak paszczęki rostworzyć.
Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki,
I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

— A co? krzyknął Assessor, kręcąc strzelby rurą,
A co? fuzyjka moja? górą nosi górą!
A co? fuzyjka moja? nie wielka ptaszyna,
A jak się popisała? to jéj nie nowina,

Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku,
Od Książęcia Sanguszki mam ją w podarunku.
Tu pokazywał strzelbę przedziwnéj roboty
Choć maleńką, i zaczął wyliczać jéj cnoty.
— Ja biegłem, przerwał Rejent otarłszy pot s czoła,
Biegłem tuż za niedźwiedziem; a Pan Wojski woła
Stój na miejscu; jak tam stać, niedźwiedź w pole wali,
Rwąc s kopyta jak zając coraz daléj, daléj,
Aż mi ducha niestało, dobiedz ni nadziei,
Aż spojrzę w prawo, sadzi, a tu rzadko w kniei,
Jak téż wziąłem na oko, postójże marucha,
Pomyśliłem, i basta, ot leży bez ducha;
Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
Napis Sagalas London à Bałabanówka.
(Sławny tam mieszkał slósarz polak, który robił
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił.)

— Jak to, parsknął Assessor, do krocset niedźwiedzi!
To to niby Pan zabił? co też to Pan bredzi?
— Słuchajno, odparł Rejent, tu Panie nie śledztwo,
Tu obława, tu wszystkich weźmiem na świadectwo.

Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta,
Ci stronę Assessora, ci brali Rejenta;
O Gerwazym niewspomniał nikt, bo wszyscy biegli
Z boków, i co się s przodu działo nie postrzegli.

Wojski głos zabrał: teraz jest przynajmniéj za co,
Bo to Panowie nie jest ow szarak ladaco,
To niedźwiedź, tu już nie żal poszukać odwetu,
Czy szarpentyną, czyli nawet s pistoletu;
Spór wasz trudno pogodzić, więc dawnym zwyczajem,
Na pojedynek nasze pozwolenie dajem.
Pamiętam za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,
Oba ludzie uczciwi, szlachta s prapradziadów,
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
Jeden zwał się Domeyko a drugi Doweyko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili,
Kto zabił trudno dociec, strasznie się kłócili,
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historję całą.

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził;
On niedźwiedzia z uwagą do koła obchodził,
Nareszcie dobył tasak, rościął pysk na dwoje,
I w tylcu głowy, mózgu roskroiwszy słoje,
Znałazł kulę, wydobył, suknią ochędożył,
Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył;

A potém dłoń podnosząc i kulę na dłoni,
Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszéj broni,
Ona s téj Horeszkowskiéj wyszła jednorurki,
(Tu podniosł flintę starą, obwiązaną w sznurki)
Lecz nie ja wystrzeliłem — o trzeba tam było
Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się ćmiło!
Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,
A niedźwiedź s tyłu już, już, na Hrabiego głowie,
Ostatniego z Horeszków! chociaż po kądzieli.
Jezus Marya, krzyknąłem; i Pańscy anieli
Zesłali mi na pomoc Księdza Bernardyna.
On nas wszystkich zawstydził; oj dzielny księżyna!
Gdym drżał, gdym się do cyngla dotknąć nie ośmielił,
On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił:
Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić!
I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!
Panowie! długo żyję, jednego widziałem
Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.
Ów głośny niegdyś u nas s tylo pojedynków,
Ów co korki kobiétom wystrzelał s patynków,
Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne,
Ów Jacek, wulgo Wąsal; nazwiska nie wspomnę:
Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;
Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.
Chwała Księdzu! dwom ludziom on życie ocalił,

Może i trzem; Gerwazy nie będzie się chwalił,
Ale gdyby ostatnie s krwi Horeszków dziecie
Wpadło w bestyi paszczę, niebyłbym na świecie,
I moje by tam stare pogryzł niedźwiedź kości;
Pójdź księże, wypijemy zdrowie Jegomości.

Próżno szukano księdza; wiedzą tylko tyle,
Że po zabiciu źwierza, zjawił się na chwilę,
Podskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,
A widząc że obadwa cali są i zdrowi,
Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił,
I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił.

Tymczasem na Wojskiego roskaz, pęki wrzosu,
Suche chrosty i pniaki rzucono do stosu;
Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu,
I rosszerza się w górze nakształt baldakimu.
Nad płomieniem oszczepy złożono w koziołki,
Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;
Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczyste,
I chléb.

Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
W którém rzędami flaszek białe sterczą głowy;
Wybiera z nich największy kufel kryształowy,
(Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka)

Wódka to Gdańska napój miły dla Polaka;
Niech żyje! krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszę,
Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze!
I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kociołkach bigos grzano — w słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;
Słów tylko brzęk usłyszy i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.

Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,
Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;
Zamknięta w kotle, łonem wilgotném okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
I praży się, aż ogień wszystkie z niéj wyciśnie
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,
I powietrze do koła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy s trzykrotnym wiwatem
Zbrojni łyżkami biegą i bodą naczynie,

Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie,
Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów,
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Kiedy się już do woli napili, najedli,
Zwierza na wóz złożyli, sami na koń siedli,
Radzi wszyscy, rozmowni, oprócz Assessora
I Rejenta, ci byli gniewliwsi niż wczora,
Kłócąc się o zalety, ten swéj Sanguszkówki,
A ten bałabanowskiéj swéj Sagalasówki.
Hrabia też i Tadeusz jadą nie weseli,
Wstydząc się że chybili i że się cofnęli:
Bo na Litwie kto zwierza wypuści z obławy,
Długo musi pracować nim poprawi sławy.

Hrabia mówił że pierwszy do oszczepu godził,
I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził;
Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy
I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,
Chciał wyręczyć Hrabiego: tak sobie niekiedy
Przymawiali śród gwaru i wrzasku czeredy.

Wojski jechał po środku; staruszek szanowny,
Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny;
Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,

Kończył im o Doweyce i Domeyce powieść:
— Assessorze, jeżeli chciałem byś z Rejentem
Pojedynkował, nie myśl że jestem zawziętym
Na krew ludzką; broń Boże, chciałem was zabawić,
Chciałem wam komedyę niby to wyprawić,
Wznowić koncept, który ja, lat temu czterdzieście,
Wymyśliłem — przedziwny! — Wy młodzi jesteście,
Nie pamiętacie o nim, lecz za moich czasów,
Głośny był od téj puszczy, do poleskich lasów.

Domeyki i Doweyki wszystkie sprzeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas seymików,
Przyjaciele Doweyki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica, day kreskę Doweyce;
A ten niedosłyszawszy dał kreskę Domeyce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie Marszałek Rupeyko
Wiwat Doweyko, drudzy krzyknęli Domeyko;
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnéj mowie w czas objadu.

Gorzéj było; raz w Wilnie jakiś szlachcic pijany,
Bił się w szable z Domeyką i dostał dwie rany;
Potém ów szlachcic z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Doweyką zjechał się u promu;

Gdy więc na jednym promie płynęli Wileyką,
Pyta sąsiada kto on, odpowie: Doweyko;
Nie czekając dobywa rapier spod kireyki,
Czach, czach, i za Domeykę podciął wąs Doweyki.

Wreszcie jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blisko siebie oba imiennicy,
I do jednéj strzelili razem Niedźwiedzicy.
Prawda że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już piérwéj niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób,
Kto zabił Niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?

Tu już krzyknęli: dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć:
Dwóch nas jak dwóch słońc pono za nadto na świecie,—
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiéj godzą.
Zmienili broń; od szabel szło na pistolety,
Stają, krzyczym że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się, śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Oba tęgo strzelali — Sekunduj Hreczecha;

Zgoda rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
Bo taki spór nie może skończyć się na niczém;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym,
Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy,
Chcecie strzelać się rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę; zgoda że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszéj, ani z bliższéj mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią; ja rękami memi
Jako sekudant skórę rościągnę na ziemi,
I ja sam was ustawię. Waść po jednéj stronie
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie.
Zgoda! wrzaśli: czas? — Jutro — miejsce? Karczma Usza.
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza —

Tu Wojskiemu przerwał krzyk: Wyczha! tuż spod koni
Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokoł goni.
Psy wzięto na obławę, wiedząc że s powrotem
Na polu łatwo można napotkać się s kotem;
Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
Wprzód nim strzelcy poszczuli już za nim pobiegły.
Rejent też i Assessor chcieli końmi natrzeć,
Lecz Wojski wstrzymał krzycząc: wara! stać i patrzeć;
Nikomu krokiem ruszyć z miejsca niedozwolę,
Stąd widzim wszyscy dobrze, zając idzie w pole.

W istocie, kot czuł s tyłu myśliwych i psiarnie,
Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,
Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
Skoki pod nim sterczały jakby cztery pręty,
Rzekłbyś że ich nie rusza tylko ziemię trąca
Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.
Pył za nim, psy za pyłem, zdaleka się zdało,
Że zając, psy i charty jedne tworzą ciało:
Jakby jakaś przez pole suwała się źmija,
Kot jak głowa, pył s tyłu jakby modra szyja,
A psami jak podwójnym ogonem wywija.

Rejent, Assessor patrzą, otworzyli usta,
Dech wstrzymali; wtém Rejent pobladnął jak chusta,
Zbladł i Assessor, widzą — fatalnie się dzieje,
Owa źmija im daléj, tém bardziéj dłużeje,
Już rwie się w pół, już znikła owa szyja pyłu,
Głowa już blisko lasu, ogony, gdzie s tyłu!
Głowa niknie, raz jeszcze jakby kto kutasem
Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.

Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,
Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;
Wreście wracają, zwolna skacząc przez zagony,
Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony,

I przybiegłszy, ze wstydu nieśmieją wznieść oczu,
I zamiast iść do Panów, stały na uboczu.

Rejent spuścił ku piersiom zasępione czoło,
Assessor rzucał okiem ale niewesoło,
Potém zaczęli oba słuchaczom wywodzić:
Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,
Jak kot z nienacka wypadł, jak źle był poszczuty
Na roli, gdzie psom chyba trzebaby wdziać buty,
Tak pełno wszędzie głazów i ostrych kamieni.

Mądrze rzecz wyłuszczali, szczwacze doświadczeni;
Myśliwi s tych mów wiele mogliby korzystać,
Lecz nie słuchali pilnie, ci zaczęli świstać,
Ci śmiać się w głos, ci mając niedźwiedzia w pamięci
Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.

Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił,
Widząc że uciekł, głowę obojętnie zwrócił
I kończył rzecz przerwaną; na czém więc stanąłem?
A ha! na tém, że obu za słowo ująłem
Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę,
Szlachta w krzyk, to śmierć pewna! prawie rura w rurę,
A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,
Że skóra źwierza nie jest ladajaką miarą.
Wszak wiecie Waćpanowie jak królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biédą

Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał;
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

Ledwie dniało, już z jednéj strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiéj na koniu Domeyko.
Patrzą, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziéj porzniętéj na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednéj strony, Domeykę zaś po drugiéj stronie.
Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
Lecz póty was niespuszczę aż się pogodzicie.
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja s Księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewangelji, s statutów dowodzić,
Niema rady: — śmieli się i musieli zgodzić.

Spor ich potém w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Doweyko się s siostrą Domeyki ożenił,
Domeyko pojął siostrę szwagra, Doweykównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek.

Księga Piąta.

KŁÓTNIA.

TREŚĆ.

Plany myśliwskie Telimeny — Ogrodniczka wybiera się na wielki świat i słucha nauk opiekunki — Strzelcy wracają — Wielkie zadziwienie Tadeusza — Spotkanie się powtórne w świątyni dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrowek — U stołu wytacza się rzecz o łowach — Powieść Wojskiego o Rejtanie i Księciu Denassów, przerwana — Zagajenie układów między stronami, także przerwane — Zjawisko s kluczem — Kłótnia — Hrabia z Gierwazym obbywają radę wojenną.

Wojski chlubnie skończywszy łowy wraca z boru,
A Telimena w głębi samotnego dworu
Zaczyna polowanie. Wprawdzie nieruchoma
Siedzi z założonemi na piersiach rękoma,
Lecz myślą goni źwierzów dwóch; szuka sposobu
Jakby razem obsaczyć i ułowić obu:
Hrabię i Tadeusza. Hrabia panicz młody,
Wielkiego domu dziedzic, powabnéj urody;

Już trochę zakochany! cóż? może się zmienić!
Potém, czy szczérze kocha? czy się zechce żenić?
S kobietą kilka laty starszą! nie bogatą!
Czy mu krewni pozwolą? co świat powié na to?

Telimena tak myśląc s sofy się podniosła
I stanęła na palcach, rzekłbyś że podrosła;
Odkryła nieco piersi, wygięła się bokiem,
I sama siebie pilném obejrzała okiem,
I znowu zapytała o radę zwierciadła;
Po chwili, wzrok spuściła, westchnęła i siadła.

Hrabia Pan! zmienni w gustach są ludzie majętni!
Hrabia blondyn! blondyni nie są zbyt namiętni.
A Tadeusz? prostaczek! poczciwy chłopczyna!
Prawie dziecko! raz pierwszy kochać się zaczyna!
Pilnowany niełacno zerwie pierwsze związki,
Przytém dla Telimeny ma już obowiązki
Męszczyzni póki młodzi, chociaż w myślach zmienni,
W uczuciach są od dziadów stalsi, bo sumienni.
Długo serce młodzieńca proste i dziewicze
Chowa wdzięczność za pierwsze miłości słodycze!
Ono roskosz i wita i żegna z weselem,
Jak skromną ucztę którą dzielim s przyjacielem.
Tylko stary pianica, gdy już spali trzewa,

Brzydzi się trunkiem, którym nazbyt się zalewa.
Wszystko to Telimena dokładnie wiedziała,
Bo i rozum i wielkie doświadczenie miała.

Lecz co powiedzą ludzie? można im zejść z oczu,
W inne strony wyjechać, mieszkać na uboczu,
Lub co lepsza, wynieść się całkiem z okolicy,
Naprzykład zrobić małą podróż do stolicy,
Młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić,
Kroki jego kierować, pomagać mu, radzić,
Serce mu kształcić, mieć w nim przyjaciela, brata!
Nareszcie — użyć świata, póki służą lata!

Tak myśląc, po alkowie śmiało i wesoło
Przeszła się kilka razy — znów spuściła czoło.

Wartoby też pomyślić o Hrabiego losie —
Czyby się nie udało podsunąć mu Zosię?
Niebogata, lecz za to urodzeniem równa,
Z domu senatorskiego, jest dygnitarzówna,
Jeżeliby do skutku przyszło ożenienie,
Telimena w ich domu miałaby schronienie
Na przyszłość, krewna Zosi i Hrabiego swatka,
Dla młodego małżeństwa byłaby jak matka.

Po téj s sobą odbytéj, stanowczéj naradzie,
Woła przez okno Zosię, bawiącą się w sadzie.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito,
Do nóg jéj biegło ptastwo; stąd kury szurpate
Toczą się kłębkiem, stamtąd kogutki czubate,
W strząsając koralowe na głowach szyszaki
I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;
Za niemi zwolna indyk sunie się odęty
Sarkając na trzpiotalstwo swéj krzykliwéj żony;
Owdzie pawie jak tratwy długiemi ogony
Stérują się po łące, a gdzie niegdzie z góry
Upada jak kiść śniegu gołąb' srebrnopióry.
W pośrodku zielonego okręgu murawy,
Sciska się okrąg ptastwa krzykliwy, ruchawy,
Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
Białéj, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w
pręgi.
Tu dzioby bursztynowe, tam czubki s korali
Wznoszą się z gęstwi pierza jak ryby s pod fali.
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych;
Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi.

Ona w środku wysoko nad ptastwem się wznosi,
Sama biała i w długą bieliznę ubrana

Kręci się, jak bijąca śród kwiatów fontanna;
Czerpie s sita i sypie na skrzydła i głowy,
Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy
Krup jęczmiennych: to ziarno godne pańskich stołów,
Robi się dla zaprawy litewskich rosołów;
Zosia je wykradając s szafy ochmistrzyni
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Usłyszała wołanie: Zosiu! to głos cioci!
Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,
A sama kręcąc sito, jako tanecznica
Bębenek i w takt bijąc, swawolna dziewica
Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury:
Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry,
Zosia stopami ledwie dotykając ziemi,
Zdawała się najwyżéj bujać między niemi;
Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,
Leciały, jak przed wozem bogini roskoszy.

Zosia przez okno s krzykiem do alkowy wpadła,
I na kolanach ciotki zadyszana siadła;
Telimena całując i głaszcząc pod brodę,
Z radością zważa dziecka żywość i urodę
(Bo prawdziwie kochała swą wychowanicę.)
Ale znowu poważnie nastroiła lice,

Wstała i przechodząc się wszerz i wzdłuż alkowy,
Dzierżąc palec przy ustach, temi rzekła słowy:

Kochana Zosiu, już też całkiem zapominasz
I na stan i na wiek twój; wszak to dziś zaczynasz
Rok czternasty, czas rzucić indyki i kurki,
Fi! to godna zabawka dygnitarskiéj córki.
I z umurzaną dziatwą chłopską już do woli
Napieściłaś się! Zosiu! patrząc serce boli;
Opaliłaś okropnie płeć, czysta cyganka,
A chodzisz i ruszasz się, jak parafianka.
Już ja temu wszystkiemu na przyszłość záradzę,
Od dziś zacznę, dziś ciebie na świat wyprowadzę,
Do salonu, do gości, gości mamy siła,
Patrzajżeż ażebyś mnie wstydu nie zrobiła.

Zosia skoczyła z miejsca i klasnęła w dłonie,
I ciotce zawisnąwszy oburącz na łonie,
Płakała i śmiała się na przemian z radości.
Ach ciociu! już tak dawno nie widziałam gości;
Od czasu jak tu żyję s kury i indyki,
Jeden gość co widziałam to był gołąb' dziki;
Już mi troszeczkę nudno tak siedzieć w alkowie,
Pan Sędzia nawet mówi, że to źle na zdrowie.

Sędzia! przerwała ciotka, ciągle mi dokuczał

Żeby cię na świat wywieść, ciągle pod nos mruczał
Że już jesteś dorosłą; sam nie wié co plecie,
Dziaduś nigdy na wielkim niebywały świecie.
Ja wiem lepiéj jak długo trzeba się sposobić
Panience, by wyszedłszy na świat effekt zrobić.
Wiedz Zosiu, że kto rośnie na widoku ludzi,
Choć piękny, choć rozumny effektów nie wzbudzi,
Gdy go wszyscy przywykną widzieć od maleńka.
Lecz niechaj ukształcona, dorosła panienka,
Nagle ni ztąd nizowąd przed światem zabłyśnie,
Wtenczas każdy się do niéj przez ciekawość ciśnie,
Wszystkie jéj ruchy, rzuty oczu jéj uważa,
Słowa jéj podsłuchiwa i drugim powtarza:
A kiedy wejdzie w modę raz młoda osoba,
Każdy ją chwalić musi, choć i niepodoba.
Znaleść się, spodziewam się że umiesz; w stolicy
Urosłaś. Choć dwa lata mieszkasz w okolicy,
Niezapomniałaś jeszcze całkiem Petersburka.
No, Zosio, toaletę rób, dostań tam z biórka,
Nagotowane znajdziesz wszystko do ubrania.
Spiesz się, bo łada chwila wrócą s polowania.

Wezwano pokojowę i służącą dziewkę;
W naczynie srebrne wody wylano konewkę,
Zosia jak wróbel w piasku, trzepioce się; myje

S pomocą sługi ręce, oblicze i szyję.
Telimena otwiera Petersburskie składy,
Dobywa flaszki perfum, słoiki pomady,
Pokrapia Zosię wkoło wyborną perfumą,
(Woń napełniła izbę) włos namaszcza gumą.
Zosia kładnie pończoszki białe, ażurowe,
I trzewiki Warszawskie białe atłasowe,
Tymczasem pokojowa sznurowała stanik,
Potém rzuciła na gors Pannie pudermanik,
Zaczęto przypieczone zbierać papiloty,
Pukle, że nazbyt krótkie uwito w dwa sploty,
Zostawując na czole i skroniach włos gładki;
Pokojowa zaś świeżo zebrane bławatki
Uwiązawszy w plecionkę daje Telimenie;
Ta ją do głowy Zosi przyszpila uczenie,
S prawéj strony na lewo: kwiat od bladych włosów
Odbijał bardzo pięknie, jak od zboża kłosów!
Zdjęto puderman, całe ubranie gotowe.
Zosia białą sukienkę, wrzuciła przez głowę,
Chusteczkę batystową białą w ręku zwija,
I tak cała wygląda biała jak lilija.

Poprawiwszy raz jeszcze i włosów i stroju,
Kazano jéj wzdłuż i wszerz przejść się po pokoju;
Telimena uważa znawczyni oczyma,

Musztruje siostrzenicę, gniéwa się i zżyma;
Aż na dygnienie Zosi krzynęła z rospaczy,
Ja nieszczęśliwa! Zosiu widzisz, co to znaczy
Żyć z gęśmi, s pastuchami! tak nogi rosszerzasz
Jak chłopiec, okiem w prawo i w lewo uderzasz,
Czysto rozwódka! — dygnij, patrz jaka niezwinna!
— Ach ciociu, rzekła smutnie Zosia, cóż ja winna,
Ciotka mnie zamykała; nie było s kim tańczyć,
Lubiłam z nudy ptastwo paść i dzieci niańczyć;
Ale poczekaj ciociu, niechno się pobawię
Trochę z ludźmi, obaczysz jak się ja poprawię.

Już, rzekła ciotka, z dwojga złego, lepiej s ptastwem
Niż s tém co u nas dotąd gościło plugastwem;
Przypomniij tylko sobie, kto tu u nas bywał:
Pleban co pacierz mruczał, lub w warcaby grywał,
I palestra s fajkami! to mi kawalery!
Nabrałabyś się od nich pięknéj maniery
Teraz to pokazać się jest przynajmniéj komu,
Mamy przecież uczciwe towarzystwo w domu.
Uważaj dobrze Zosiu, jest tu Hrabia młody,
Pan, dobrze wychowany, krewny wojewody,
Pamiętaj być mu grzeczną —

Słychać rżenie koni
I gwar myśliwców; już są pod bramą: to oni!

Wziąwszy Zosię pod rękę pobiegła do sali.
Myśliwi na pokoje jeszcze niewchadzali,
Musieli po komnatach odmieniać swą odzież,
Niechcąc wniść do dam w kurtkach. Piérwsza wpadła młodzież,
Pan Tadeusz i Hrabia, co żywo przybrani.

Telimena sprawuje obowiązki Pani,
Wita wchodzących, sadza, rozmową zabawia,
I siostrzenicę wszystkim s kolei przedstawia:
Naprzód Tadeuszowi, jako krewną bliską;
Zosia grzecznie dygnęła, on skłonił się nisko,
Chciał coś do niéj przemówić, już usta otworzył,
Ale spojrzawszy w oczy Zosi tak się strwożył,
Że stojąc niemy przed nią, to płonął, to bladnął;
Co było w jego sercu, on sam nie odgadnął.
Uczuł się nieszczęśliwym bardzo — poznał Zosię!
Po wzroście i po włosach światłych i po głosie;
Tę kibić i tę główkę widział na parkanie,
Ten wdzięczny głos zbudził go dziś na polowanie.

Aż Wojski Tadeusza wyrwał z zamięszania,
Widząc że bladnie i że na nogach się słania,
Radził mu odejść do swéj izby dla spoczynku;
Tadeusz stanął w kącie, wsparł się na kominku,

Nic nie mówiąc — szerokie, obłędne źrenice
Obracał to na ciotkę, to na siostrzenicę.
Dostrzegła Telimena, iż piérwsze spojrzenie
Zosi, tak wielkie na nim zrobiło wrażenie;
Nie odgadła wszystkiego, przecież pomieszana
Bawi gości, a z oczu nie spuszcza młodziana.
Wreszcie czas upatrzywszy ku niemu podbiega:
Czy zdrów? dla czego smutny? pyta się, nalega,
Napomyka o Zosi, zaczyna z nim żarty;
Tadeusz nieruchomy, na łokciu oparty,
Nic nie gadając marszczył brwi i usta krzywił:
Tém bardziéj Telimenę pomieszał i ździwił.
Zmieniła więc natychmiast twarz i ton rozmowy,
Powstała zagniewana, i ostremi słowy
Poczęła nań przymówki sypać i wyrzuty;
Porwał się i Tadeusz jak żądłem ukłuty,
Spojrzał krzywo, nie mówiąc ani słowa splunął,
Krzesło nogą odepchnął i s pokoju runął,
Trzasnąwszy drzwi za sobą. Szczęściem że téj sceny
Nikt z gości nie uważał oprócz Telimeny.

Wyleciawszy przez bramę, biegł prosto na pole;
Jak szczupak, gdy mu oścień skróś piersi przekole,
Pluska się i nurtuje myśląc że uciecze,
Ale wszędzie żelazo i sznur s sobą wlecze:

Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,
Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty,
Bez celu i bez drogi; aż nie mało czasu
Nabłąkawszy się, w końcu wszedł w głębinę lasu
I trafił czy umyślnie, czyli też przypadkiem,
Na wzgórek co był wczora szczęścia jego świadkiem,
Gdzie dostał ów bilecik, zadatek kochania,
Miejsce jak wiemy, zwane **Świątynią dumania.**

Gdy okiem w koło rzuca, postrzega, to ona!
Telimena, samotna, w myślach pogrążona,
Od wczorajszéj postacią i strojem odmienna,
W bieliźnie, na kamieniu, sama jak kamienna;
Twarz schyloną w otwarte utuliła dłonie,
Choć nie słyszysz szlochania, znać że we łzach tonie.

Daremnie broniło się serce Tadeusza:
Ulitował się, uczuł że go żal porusza,
Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,
Nakoniec westchnął i rzekł sam do siebie z gniewem:
Głupi! cóż ona winna, że się ja pomylił;
Więc zwolna głowę ku niéj z za drzewa wychylił.
Gdy nagle Telimena zrywa się s siedzenia,
Rzuca się w prawo, w lewo, skacze skróś strumienia,
Roskrzyżowana, z włosem rospuszczonym, blada,

Pędzi w las, podskakuje, przyklęka, upada,
I nie mogąc już powstać, kręci się po darni,
Widać z jéj ruchów w jakiéj strasznéj jest męczarni;
Chwyta się za pierś, szyję, za stopy, kolana;
Skoczył Tadeusz myśląc że jest pomieszana,
Lub ma wielką chorobę. Lecz z innéj przyczyny
Pochodziły te ruchy.

U bliskiéj brzeziny
Było wielkie mrowisko, owad gospodarny
Snuł się wkoło po trawie, ruchawy i czarny,
Nie wiedziéć czy s potrzeby, czy z upodobania,
Lubił szczególnie zwiedzać świątynię dumania;
Od stołecznego wzgórka aż po źrodła brzegi
Wydeptał drogę, którą wiodł swoje szeregi.
Nieszczęściem Telimena siedziała śród drożki;
Mrówki znęcone blaskiem bieluchnéj pończoszki,
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,
Telimena musiała uciekać, otrząsać,
Nakoniec na murawie siąść i owad łowić.

Niemógł jéj swéj pomocy Tadeusz odmówić;
Oczyszczając sukienkę aż do nóg się zniżył,
Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył —
W tak przyjaźnéj postawie, choć nic nie mówili

O rannych kłótniach swoich, przecież się zgodzili;
I nie wiedzieć jak długo trwałaby rozmowa,
Gdyby ich nie przebudził dzwonek s Soplicowa —

Hasło wieczerzy: pora powracać do domu,
Zwłaszcza że słychać było opodal trzask łomu.
Może szukają? razem wracać nie wypada;
Więc Telimena w prawo pod ogród się skrada,
A Tadeusz na lewo biegł do wielkiéj drogi;
Oboje w tym odwrocie mieli nieco trwogi:
Telimenie zdało się, że raz s poza krzaka
Błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka;
Tadeusz widział dobrze, jak mu raz i drugi
Pokazał się na lewo cień biały i długi,
Co to było nie wiedział, ale miał przeczucie,
Że to był Hrabia w długim, angielskim surducie.

Wieczerzano w zamczysku. Uparty Protazy
Niedbając na wyraźne Sędziego zakazy,
W niebytność Państwa znowu do zamku szturmował,
I kredens doń (jak mówi) zaintromitował.
Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem,
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom starcom i młodzieży.

Kwestarz nie był u stołu; miejsce Bernardyna
Po prawéj stronie męża, ma Podkomorzyna.
Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,
Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił;
Męszczyznom dano wódkę; zaczém wszyscy siedli,
I chłodnik zabielany milcząc żwawo jedli.

Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,
W towarzystwie kielichów Węgrzyna, Malagi;
Jedzą, piją a milczą wszyscy. Nigdy pono
Od czasu jako mury zamku podźwigniono,
Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,
Tyle wesołych słyszał i odbił wiwatów,
Niepamiętano takiéj posępnéj wieczerzy;
Tylko pukanie korków i brzęki talerzy,
Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:
Rzekłbyś iż zły duch gościom zasznurował usta.

Mnogie były powody milczenia: myśliwi
Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi;
Lecz gdy zapał ochłonął, myśląc nad obławą,
Postrzegają że wyszli z niéj nie z wielką sławą:
Trzebaż było ażeby jeden kaptur popi,
Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s konopi,
Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!

Cóż o tém będą gadać w Oszmianie i Lidzie,
Które od wieków walczą s tutejszym powiatem
O piérwszeństwo w strzelectwie; myślili więc nad tém.

Zaś Assessor i Rejent prócz wspólnych niechęci,
Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.
W oczach im stoi niecny kot, skoki wyciąga,
I omykiem spod gaju kiwając urąga,
I tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem:
Siedzieli s pochyloném ku misie obliczem.
Assessor nowe jeszcze miał powody żalów,
Patrząc na Telimenę i na swych rywalów.

Do Tadeusza siedzi Telimena bokiem,
Pomięszana, zaledwie śmie nań rzucić okiem;
Chciała zasępionego Hrabiego zabawić,
Wyzwać w dłuższą rozmowę, w lepszy humor wprawić:
Bo Hrabia dziwnie kwaśny powrócił s przechadzki,
A raczéj jako myślił Tadeusz z zasadzki;
Słuchając Telimeny, czoło podniosł hardo,
Brwi zmarszczył, spójrzał na nią ledwie nie s pogardą;
Potém przysiadł się jak mógł najbliżéj do Zosi,
Nalewa jéj do szklanki, talerze przynosi,
Prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiécha,
Czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha.

Widać przecież, pomimo tak zręczne łudzenie;
Że umizgał się, tylko na złość Telimenie;
Bo głowę odwracając niby nie umyślnie,
Co raz ku Telimenie groźnem okiem błyśnie.

Telimena nie mogła pojąć co to znaczy,
Ruszywszy ramionami, myśliła: dziwaczy.
Wreszcie nowym żalotom Hrabiego dość rada,
Zwróciła się do swego drugiego sąsiada.

Tadeusz też posępny nic nie jadł, nic nie pił,
Zdawał się słuchać rozmów, oczy w talerz wlepił;
Telimena mu leje wino, on się gniewa
Na natrętność; pytany o zdrowie — poziewa.
Ma za złe (tak się zmienił jednego wieczora)
Że Telimena zbytnie do zalotów skora;
Gorszy się że jéj suknia tak wcięta głęboko,
Nie skromnie — a dopiéro, kiedy podniosł oko!
Aż przeląkł się, bystrzejsze teraz miał źrenice,
Ledwie spojrzał w rumiane Telimeny lice,
Odkrył od razu wielką, straszną tajemnicę!
Przebóg, naróżowana!

Czy róż w złym gatunku,
Czy jakoś na obliczu przetarł się s trefunku:
Gdzie nie gdzie zrzedniał, na wskróś grubszą płeć odsłania.

Może to sam Tadeusz w Świątyni dumania,
Rozmawiając za blisko, omusknął z bielidła
Karmin, lżejszy od pyłków motylego skrzydła.
Telimena wracała nazbyt śpieszno z lasu,
I poprawić kolory swe nie miała czasu;
Około ust szczególniéj widne były piegi.
Nuż oczy Tadeusza, jako chytre szpiegi,
Odkrywszy jedną zdradę, poczną w kolej zwiedzać
Resztę wdzięków, i wszędzie, jakiś fałsz wyśledzać:
Dwóch zębów braknie w ustach; na czole, na skroni
Zmarszczki; tysiące zmarszczków pod brodą się chroni!

Niestety! czuł Tadeusz, jak jest niepotrzebnie,
Rzecz piękną nazbyt ściśle zważać; jak haniebnie
Być szpiegiem swéj kochanki; nawet jak szkaradnie,
Odmieniać smak i serce — lecz któż sercem władnie?
Darmo chce brak miłości zastąpić sumieniem,
Chłód duszy ogrzać znowu jéj wzroku promieniem:
Już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła,
Błyskał po wierzchu duszy, która do dna krzepła . .
Takie robiąc sam w sobie wyrzuty i skargi,
Pochylił w talerz głowę, milczał i gryzł wargi.

Tym czasem zły duch nową pokusą go wabi,
Podsłuchiwać co Zosia mówiła do Hrabi:

Dziewczyna uprzejmością Hrabiego ujęta,
Z razu rumieniła się spuściwszy oczęta,
Potém śmiać się zaczęli, w końcu rozmawiali,
O jakiémś niespodzianém w ogrodzie spotkaniu,
O jakiémś po łopuchach i grzędach stąpaniu.
Tadeusz wyciągnąwszy co najdłużéj uszy,
Połykał gorzkie słowa i przetrawiał w duszy,
Okropną miał biesiadę. Jak w ogrodzie żmija,
Dwoistém żądłem zioło zatrute wypija,
Potém skręci się w kłębek i na drodze legnie,
Grożąc stopie co na nią nieostróżnie biegnie;
Tak Tadeusz opiły trucizną zazdrości,
Zdawał się obojętny, a pękał ze złości.

W najweselszém zebraniu niech się kilku gniewa,
Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa.
Strzelcy dawniéj milczeli, druga stołu strona
Umilkła, Tadeusza żółcią zarażona.

Nawet Pan Podkomorzy nadzwyczaj ponury,
Nie miał ochoty gadać; widząc swoje córy
Posażne i nadobne Panny, w wieku kwiecie,
Zdaniem wszystkich najpierwsze partye w powiecie,
Milczące, zaniedbane od milczącéj młodzi.
Gościnnego Sędziego równieź to obchodzi;

Wojski zaś uważając że tak wszyscy milczą,
Nazywał tę wieczerzą nie polską, lecz wilczą.

Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,
Sam gawęda, i lubił niezmiernie gaduły,
Nie dziw! ze szlachtą strawił życie na biesiadach,
Na polowaniach, zjazdach, sejmikowych radach;
Przywykł żeby mu zawsze coś bębniło w ucho,
Nawet wtenczas, gdy milczał, lub s packą za muchą
Skradał się, lub zamknąwszy oczy siadał marzyć;
W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwarzyć
Pacierze różańcowe, albo gadać bajki:
Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,
Wymyślonéj od niemców by nas scudzoziemczyć,
Mawiał: Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć. —
Starzec wiek przegwarzywszy chciał spoczywać w gwarze,
Milczenie go budziło ze snu: tak młynarze
Uśpieni kół tarkotem, ledwie staną osie,
Budzą się krzycząc s trwogą: a słowo stało się.

Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,
A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,
Prosząc o głos; Panowie na ten ukłon niemy
Odkłonili się oba, co znaczy: prosiemy.
Wojski zagaił.

„Smiałbym upraszać młodzieży,
Ażeby postaremu bawić u wieczerzy,
Nie milczeć i żuć: czy my Ojce Kapucyni?
Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni,
Jako myśliwiec który nabój rdzawi w strzelbie:
Dla tego ja rozmowność naszych przodków wielbię.
Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,
Ale aby nawzajem mogli się wygadać,
Co każdy miał na sercu; nagany, pochwały
Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,
Wywoływano na plac; powstawała wrzawa,
Miła uchu myśliwców, jak druga obława.
Wiem, wiem o co wam idzie: ta czarnych trosk chmura
Pono z Robakowego wzniosła się kaptura!
Wstydzicie się swych pudeł! niech was wstyd nie pali,
Znałem mysliwych lepszych od was, a chybiali;
Trafiać, chybiać, poprawiać, to kolej strzelecka,
Ja sam, chociaż ze strzelbą włóczę się od dziecka,
Chybiałem; chybiał sławny ów strzelec Tułoszczyk,
Nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk.
O Rejtanie opowiem późniéj. Co się tycze
Wypuszczenia z obławy, że oba panicze
Zwierzowi jak należy kroku niedostali
Choć mieli oszczep w ręku, tego nikt nie chwali,
Ani gani: bo zmykać mając nabój w rurze

Znaczyło po staremu być tchórzem nad tchórze,
Toż wystrzelić na oślep (jak to robi wielu)
Nie przypuściwszy zwierza, nie wziąwszy do celu,
Jest rzecz haniebna; ale kto dobrze wymierzy,
Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,
Jeśli chybił, cofnąć się może bez sromoty,
Albo walczyć oszczepem, lecz z własnéj ochoty
A nie z musu: gdyż oszczep strzelcom poruczony,
Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.
Tak było po staremu: a więc mnie zawierzcie,
I waszéj rejterady do serca niebierzcie,
Kochany Tadeuszku i Wielmożny Grafie;
Ilekroć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,
Wspomnijcie też starego Wojskiego przestrogę,.
Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,
Nigdy we dwóch nie strzelać do jednéj źwierzyny.

Właśnie Wojski wymawiał to słowo źwierzyny,
Gdy Assessor półgębkiem podszepnął: dziewczyny;
Brawo krzyknęła młodzież, powstał szmer i śmiechy,
Powtarzano s kolei przestrogę Hreczechy,
Mianowicie ostatnie słowo: ci źwierzyny,
A drudzy w głos śmiejąc się krzyczeli dziewczyny;
Rejent szepnął: kobiety, — Assessor: kokiety,
Utkwiwszy w Telimenie oczy jak sztylety.

Nie myślił wcale Wojski przymawiać nikomu,
Ani uważał, co tam szepcą pokryjomu;
Rad bardzo że mógł damy i młodzież rośśmieszyć,
Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć.
I zaczął, nalewając sobie kielich wina:

„Nadaremnie oczyma szukam Bernardyna;
Chciałbym mu opowiedziéć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia dzisiejszéj obławy.
Klucznik mówił, że tylko znał jednego człeka,
Co tak celnie jak Robak mógł strzelić zdaleka;
Ja zaś znałem drugiego: równie trafnym strzałem
Ocalił on dwóch panów; sam ja to widziałem,
Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów,
Tadeusz Rejtan poseł i książe Denassów.
Nie zazdrościli sławie szlachcica panowie,
Owszem u stołu, pierwsi wnieśli jego zdrowie,
Nadawali mu wielkich prezentów bez liku,
I skórę zabitego dzika: o tym dziku
J o strzale, powiem wam jak naoczny świadek;
Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek,
A zdarzył się największym strzelcom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i Księciu Denassów.

A w tém ozwał się Sędzia nalewając czaszę:

Piję zdrowie Robaka, Wojski, w ręce wasze.
Jeśli datkiem nie możem kwestarza zbogacić,
Postaramy się przecież za proch mu zapłacić,
Ręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru,
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.
Lecz skóry Księdzu niedam; lub gwałtem zabiorę,
Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,
Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.
Skórą tą rozrządzimy wedle naszéj woli;
Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży,
Skórę Jaśnie Wielmożny pan nasz Podkomorzy
Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył;

Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył;
Strzelcy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał,
Tamten jak zwierza znalazł, ten jak ranę zadał.
Tamten psiarnię nawołał, ów zwierza nawrócił
Znowu w ostęp. Assessor z Rejentem się kłócił,
Jeden wielbiąc przymioty swojéj Sanguszkówki,
Drugi bałabanowskiéj swéj Sagalasówki.

Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy,
Pierwszą nagrodę słusznie zyskał sługa boży;
Lecz nie łacno rozsądzić kto jest po nim drugi,
Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,
Wszyscy równi zręcznością, biegłością i męstwem.

Przecież dwóch dziś odznaczył los niebespieczeństwem,
Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura,
Tadeusz i pan Hrabia; im należy skóra.
Pan Tadeusz ustąpi (jestem tego pewny)
Jako młodszy i jako Gospodarza krewny;
Więc spolia opima weźmiesz Mości Hrabia.
Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,
Niechaj pamiątką będzie dzisiejszéj zabawy,
Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłéj sławy.

Umilknął wesoł, myśląc że Hrabię ucieszył,
Nie wiedział jak boleśnie serce jego przeszył.
Bo Hrabia na strzeleckiéj komnaty wspomnienie,
Mimowolnie wzrok podniosł; a te łby jelenie,
Te gałęziste rogi jakby las wawrzynów
Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,
Te rzędami portretów zdobione filary,
Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,
Ozwały się doń zewsząd głosami przeszłości;
Zbudził się z marzeń, wspomniał, gdzie, u kogo gości,
Dziedzic Horeszków, gościem środ swych własnych progów,
Biesiadnikiem Sopliców, swych odwiecznych wrogów!
A przytém zawiść ktorą czuł dla Tadeusza,
Tém mocniéj Hrabię przeciw Soplicom porusza.

Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: mój domek
zbyt mały,
Niema godnego miejsca na dar tak wspaniały;
Niech lepiéj niedźwiedź czeka pośród tych rogaczy,
Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy.

Podkomorzy zgadując na co się zanosi,
Zadzwonił w tabakierę złotą, o głos prosi.

Godzieneś pochwał, rzecze, Hrabio mój sąsiedzie,
Że dbasz o interesa nawet przy obiedzie;
Nie tak jak modni wieku twojego panicze,
Żyjący bez rachunku. Ja tuszę i życzę
Zgodą zakończyć moje sądy podkomorskie;
Dotąd jedyna trudność jest o fundum dworskie.
Mam już projekt zamiany, fundum wynagrodzić
Ziemią, w sposób następny — Tu zaczął wywodzić
Porządnie (jak zwykł zawsze) plan przyszłéj zamiany;
Iuż był w połowie rzeczy; gdy ruch niespodziany
Wszczął się na końcu stoła: jedni coś postrzegli,
Wskazują palcem, drudzy z oczyma tam biegli,
Aż wreszcie wszystkie głowy, jak kłosy schylone,
Wstecznym wiatrem w przeciwną zwróciły się stronę,
W kąt.
S kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka
Ostatniego z rodziny Horeszków Stolnika,

Z małych drzwiczek ukrytych pomiędzy filary,
Wysunęła się cicho postać, nakształt mary.
Gerwazy; poznano go po wzroście, po licach,
Po srebrzystych na żółtéj kurcie Półkozicach.
Stąpał jako słup prosto, niemy i surowy,
Niezdjąwszy czapki, nawet nieschyliwszy głowy;
W ręku trzymał błyszczący klucz jakby puginał,
Odemknął szafę i w niéj coś kręcić zaczynał.

Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary,
Dwa kurantowe w szafach zamknięte zegary;
Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,
Południe wskazywały często o zachodzie;
Gerwazy nie przybrał się machyny naprawić,
Ale bez nakręcenia nie chciał jéj zostawić,
Dręczył kluczem zegary każdego wieczora;
Właśnie teraz przypadła nakręcania pora.
Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę
Stron interessowanych, on pociągnął wagę:
Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,
Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał rosprawę.
Bracie, rzekł, odłóż nieco twą pilną robotę —
I kończył plan zamiany; lecz Klucznik na psotę
Jeszcze silniéj pociągnął drugiego ciężaru;
I wnet gil który siedział na wierzchu zegaru,

Trzepiocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów nóty:
Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda że popsuty,
Zająkał się i piszczał, im daléj tém gorzéj.
Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podkomorzy.
Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczéj puszczyku,
Jeśli dziob twój szanujesz, dość mi tego krzyku.

Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył,
Prawą rękę poważnie na zegar położył,
A lewą wziął się pod bok; tak oburącz wsparty,
Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty,
Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach
Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach:
Co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze
Nocą właził, ten puszczyk, i ja go wystraszę.
— Za drzwi z nim. Podkomorzy krzyknął.

— Panie Hrabia!

Zawołał Klucznik, widzisz Pan co się wyrabia:
Czy niedosyć się jeszcze pański honor plami,
Że Pan jadasz i pijasz s temi Soplicami;
Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,
Gerwazego Rembayłę, Horeszków Klucznika,
Lżyć w domu Panów moich, i Pan że to zniesie!
— Wtém Protazy zawołał trzykroć: Uciszcie się,

Na ustęp! Ja Protazy Baltazar Brzechalski,
Dwojga imion, Generał niegdyś trybunalski,
Vulgo Woźny, woźneńską obdukcyą robię
I vizyą formalną, zamawiając sobie
Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo
I pana Assessora wzywając na śledztwo,
S powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy:
O inkursyą, to jest o najazd granicy,
Gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada,
Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada.
— Brzechaczu, wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę;
I dobywszy z zapasa swe żelazne klucze,
Okręcił w koło głowy, puścił s całéj mocy;
Pęk żelaza wyleciał, jako kamień s procy.
Pewnie łeb Protazemu rozbiłby na ćwierci;
Szczęściem schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wszyscy, chwilę była głucha
Cichość, aż Sędzia krzyknął: w dyby tego zucha!
Hola chłopcy! — i czeladź rzuciła się żwawo
Ciasném przejściem pomiędzy ścianami i ławą;
Lecz Hrabia krzesłem w środku zagrodził im drogę
I na tym szańcu słabym utwierdziwszy nogę,
Wara! zawołał, Sędzio! niewolno nikomu
Krzywdzić sługę mojego w moim własnym domu;

Kto ma na starca skargę, niech mi ją przełoży.

Zyzem w oczy Hrabiemu spojrzał Podkomorzy.
„Bez Waścinéj pomocy ukarać potrafię
Zuchwałego szlachetkę; a Waść Mości Grafie,
Przed dekretem ten zamek zawcześnie przywłaszczasz;
Nie Wać tu jesteś panem, nie Wać nas ugaszczasz:
Siedź cicho jakieś siedział; jeśli siwéj głowy
Nie czcisz, to szanuj pierwszy urząd powiatowy.

— Co mi? odmruknął Hrabia, dość już téj gawędy,
Nudźcie drugich waszemi względy i urzędy;
Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z Wać państwem
W pijatyki, które się kończą grubijaństwem.
Zdacie mi sprawę z mego honoru obrazy;
Do widzenia po trzeźwu — pódź za mną Gerwazy.

Nigdy się odpowiedzi takiéj niespodziewał
Podkomorzy, właśnie swój kieliszek nalewał,
Gdy zuchwalstwem Hrabiego rażony jak gromem,
Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,
Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,
Oczy rozwarł szeroko, usta wpół otworzył;
Milczał, lecz kielich w ręku tak potężnie cisnął,

Że szkło dźwięknąwszy pękło, płyn w oczy mu prysnął.
Rzekłbyś że z winem ognia w duszę się nalało,
Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało;
Zerwał się mówić, pierwsze słowo niewyraźnie
Mleł w ustach, aż przez zęby wyleciało: Błaźnie!
Grafiątko! ja cię! Tomasz! karabellę! Ja tu
Nauczę ciebie mores, błaźnie, daj go katu!
Względy, urzędy nudzą, uszko delikatne!
Ja cię tu zaraz po tych zauszniczkach płatnę.
Fora za drzwi! do korda! Tomasz, karabellę!

Wtém do Podkomorzego skoczą przyjaciele;
Sędzia porwał mu rękę: „Stój Pan, to rzecz nasza,
Mnie tu naprzód wyzwano, Protazy, pałasza!
Puszczę go w taniec jako niedźwiadka na kiju —
Lecz Tadeusz Sędziego wstrzymał — Panie stryju,
Wielmożny Podkomorzy, czyż się Państwu godzi
Wdawać się s tym fircykiem, czy tu nie ma młodzi?
Na mnie to zdajcie, ja go należycie skarcę;
A Waszeć Panie śmiałku co wyzywasz starce,
Obaczym czyli jesteś tak strasznym rycerzem;
Rosprawimy się jutro, plac i broń wybierzem.
Dziś uchodź pókiś cały —

Dobra była rada;
Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nie lada.

Przy wyższym końcu stoła wrzał tylko krzyk wielki,
Ale z ostrego końca latały butelki
Koło Hrabiego głowy. Strwożone kobiety
W prośby, w płacz; Telimena, krzyknąwszy: niestety!
Wzniosła oczy, powstała, i padła zemdlona,
I przechyliwszy szyję przez Hrabi ramiona,
Na pierś jego złożyła swe piersi łabędzie.
Hrabia choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie,
Zaczął cucić, ocierać.

Tymczasem Gerwazy,
Wystawiony na stołków i butelek razy,
Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięście
Rzucała się nań zewsząd hurmem, gdy na szczęście
Zosia widząc szturm, skoczy i litością zdjęta,
Zasłania starca na krzyż rospiąwszy rączęta —
Wstrzymali się; Gerwazy zwolna ustępował,
Zniknął z oczu, szukano gdzie się pod stół schował;
Gdy nagle, z drugiéj strony wyszedł jak spod ziemi,
Podniosłszy w górę ławę ramiony silnemi,
Okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,
Wziął Hrabię i tak oba ławą zasłonieni
Cofali się ku drzwiczkom; już dochodzą progów,
Gerwazy stanął, jeszcze raz spojrzał na wrogów,
Dumał chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,

Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie.
Obrał drugie; już ławę jak taran murowy
W tył dźwignął dla zamachu, już ugiąwszy głowy,
Z wypiętą na przód piersią, s podniesioną nogą
Miał wpaść... ujrzał Wojskiego, uczuł w sercu trwogę.

Wojski cicho siedzący s przymrużoném okiem,
Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiém;
Dopiero gdy się Hrabia s Podkomorzym skłócił
I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił,
Zażył dwakroć tabaki i przetarł powieki.
Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,
Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,
O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.
Przypatrywał się zatém s ciekawością walce,
Wyciągnął zlekka na stół rękę dłoń i palce,
Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznokcia
Indexu, a żelazem zwrócony do łokcia,
Potém rękę w tył nieco wychyloną kiwał
Niby bawiąc się, lecz się w Hrabiego wpatrywał.

Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznéj bitwie,
Już była zaniedbana podówczas na Litwie,
Znajoma tylko starym; Klucznik jéj probował
Nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niéj celował.

Widać z zamachu ręki że silnie uderzy,
A z oczu łacno zgadnąć, że w Hrabiego mierzy
(Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli)
Mniéj baczni młodzi ruchów starca niepojęli;
Gerwazy zbladnął, ławą Hrabiego zakłada,
Cofa się ku drzwiom. — „Łapaj!“ krzyknęła gromada.

Jako wilk obskoczony znienacka przy ścierwie,
Rzuca się oślep w zgraję co mu ucztę przerwie,
Już goni, ma ją szarpać, wtém sród psiego wrzasku
Trzasło ciche półkórcze, wilk zna je po trzasku,
Śledzi okiem, postrzega, że s tyłu za charty,
Myśliwiec wpół schylony, na kolanie wsparty
Rurą, ku niemu wije, i już cyngla tyka;
Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka,
Psiarnia s tryumfującym rzuca się hałasem,
I skubie go po kudłach, zwierz zwraca się czasem,
Spojrzy, klapnie paszczęką, i białych kłów zgrzytem
Ledwie pogrozi, psiarnia pierzcha ze skowytem.
Tak i Gerwazy z groźną cofał się postawą,
Wstrzymując napastników oczyma i ławą,
Aż razem z Hrabią wpadli w głąb’ ciemnéj framugi.

„Łapaj!“ krzykniono znowu; tryumf był nie długi:
Bo nad głowami tłumu Klucznik nie spodzianie

Ukazał się na chorze, przy starym organie,
I s trzaskiem jął wyrywać ołowiane rury,
Wielkąby klęskę zadał uderzając z góry.
Ale już goście tłumnie wychodzili s sieni,
Nieśmieli kroku dostać słudzy potrwożeni,
I chwytając naczynia w ślad Panów uciekli,
Nawet nakrycia s częścią sprzętów się wyrzekli.

Któż ostatni, niedbając na groźby i razy
Ustąpił s placu bitwy? Brzechalski Protazy.
On za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,
Ciągnął woźnieńskim głosem swoje oświadczenie,
Aż skończył, i s pustego szedł pobojowiska,
Kędy zostały trupy, ranni i zwaliska.

W ludziach straty nie było, ale wszystkie ławy
Miały zwichnione nogi, stół także kulawy,
Obnażony z obrusa, poległ na talerzach
Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,
Między licznemi kurcząt i jendyków ciały,
W których piersi widelce świeżo wbite tkwiały.

Po chwili w Horeszkowskim samotnym budynku,
Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.
Mrok zgęstniał; reszty pańskiéj wspaniałéj biesiady

Leżą, podobne uczcie nocnéj, gdzie na dziady
Zgromadzać zaklęte mają nieboszczyki.
Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki
Jak guślarze; zdają się witać wschód miesiąca,
Którego postać oknem spadła na stół, drżąca
Niby dusza czyscowa; s podziemu, przez dziury
Wyskakiwały nakształt potępieńców szczury:
Gryzą, piją; czasami w kącie zapomniana
Puknie na toast duchom butelka szampana.

Ale na drugiém piętrze, w izbie którą zwano,
Choć była bez zwierciadeł, izbą zwierciadlaną,
Stał Hrabia na krużganku zwroconym ku bramie;
Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramie,
Drugi rękaw i poły u szyi sfałdował,
I pierś surdutem jakby płaszczem udrapował.
Gerwazy chodził kroki wielkiemi po sali;
Obadwa zamyśleni, do siebie gadali:
— Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą pałasze.
— Zamek, rzekł Klucznik i wieś, oboje to nasze.
— Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemie,
Wyzywaj — Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemie
Zabieraj Pan — to mówiąc zwrócił się do Hrabi —
Jeśli Pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.
Poco process, Mopanku! sprawa jak dzień czysta,

Zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta;
Część gruntów oderwano w czasie Targowicy,
I jak Pan wié, oddano władaniu Soplicy.
Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy,
Za koszta processowe, za karę grabieży.
Mówiłem Panu zawsze, processów zaniechać,
Mówiłem Panu zawsze: najechać, zajechać;
Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiądzie,
Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.
Co się tycze dawniejszych s Soplicami sprzéczek,
Jest na to od processu lepszy scyzoryczek;
A jeśli Maciej w pomoc da mi swą różeczkę,
To my we dwóch, Sopliców tych porzniem na sieczkę.

Brawo! rzekł Hrabia, plan twóy, gotycko-sarmacki,
Podoba się mi lepiéj, niż spór adwokacki.
Wiész co? na całéj Litwie narobim hałasu
Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu.
I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,
Jakąż bitwę widziałem? s chłopami o miedzę.
Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży;
Odbyłem taką jedną w czasie mych podróży.
Gdym w Sycylji bawił u pewnego księcia,
Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia,
I okupu od krewnych żądali zuchwale;

My zebrawszy na prędce sługi i Wassale,
Wpadliśmy; ja dwóch zbójców ręką mą zabiłem,
Piérwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.
Ach mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,
Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!
Lud s kwiatami spotykał nas — córka książęcia
Wdzięczna zbawcy, ze łzami wpadła w me objęcia.
Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,
Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety.
Nawet wydrukowano o całém zdarzeniu
Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.
Romans ma tytuł: **Hrabia, czyli tajemnice**
Zamku Birbante — rokka. Czy są tu ciemnice
W tym zamku? Są rzekł Klucznik, ogromne piwnice,
Ale puste! bo wino wypili Soplice.
— Dżokejów, dodał Hrabia, uzbroić we dworze,
Z włości wezwać Wassalów! — Lokajów? broń Boże!
Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?
Kto widział zajazd robić s chłopstwem i z lokajstwem?
Mój Panie, na zajazdach nieznacie się wcale;
Wąsalów co innego, zdadzą się wąsale:
Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach,
W Dobrzynie, w Rzezikowie, w Ciętyczach, w Rą-
bankach;
Szlachta odwieczna, w któréj krew rycerska płynie,

Wszyscy przychylni Panów Horeszków rodzinie,
Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!
Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlachciców;
To rzecz moja. Pan niechaj do pałacu wraca,
I wyśpi się, bo jutro będzie wielka praca;
Pan spać lubi, już późno, drugi kur już pieje;
Ja tu będę pilnować zamku aż rozdnieje,
A ze słoneczkiem stanę w Dobrzyńskim zaścianku.

Na te słowa Pan Hrabia ustąpił s krużganku;
Ale nim odszedł, spojrzał przez otwór strzelnicy,
I widząc świateł mnóstwo w domostwie Soplicy,
Illuminujcie! krzyknął, jutro o téj porze,
Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze.

Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę,
I pochylił ku piersiom czoło zadumane;
Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łysy,
Gerwazy po nim kryślił palcem różne rysy;
Widać że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.
Ciężą mu coraz bardziéj powieki brzemienne,
Bezwładną kiwnął szyją, czuł że go sen bierze,
Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.
Lecz między Ojczenaszém i Zdrowaś Maryą,
Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:

Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne Pany,
Ci niosą karabelle, drudzy buzdygany,
Każdy groźnie spoziera i pokręca wąsa,
Składa się karabellą, buzdyganem wstrząsa —
Za nimi jeden cichy, posępny cień mignął,
S krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,
Poznał Stolnika; zaczął w koło siebie żegnać,
I ażeby tém pewniéj straszne sny rozegnać,
Odmawiał litanią o czyscowych duszach.
Znowu wzrok mu skleił się, zadzwoniło w uszach —
Widzi tłum szlachty konnéj, błyszczą karabelle:
Zajazd! zajazd Korelicz i Rymsza na czele!
I ogląda sam siebie: jak na koniu siwym,
S podniesionym nad głową rapiérem straszliwym
Leci; rospięta na wiatr szumi taratatka,
Z lewego ucha spadła w tył konfederatka;
Leci, jezdnych i pieszych po drodze obala,
I nakoniec Soplicę w stodole podpala —
Wtém ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,
I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.

Objaśnienia.

Ostatni zajazd na Litwie.

Za czasów Rzeczypospolitéj Polskiéj, exekwowanie wyroków sądowych było bardzo trudne, w kraju gdzie władza wykonawcza nie miała prawie żadnéj policji pod swemi roskazami, a obywatele możni trzymali nadworne półki, niektórzy nawet, jak książęta Radziwiłłowie, kilkunasto tysięczne wojska. Żałujący więc uzyskawszy dekret musiał po exekucją udawać się do stanu rycerskiego, to jest do szlachty, przy któréj była także władza wykonawcza. Zbrojni krewni, przyjaciele i powietnicy ciągnęli z dekretem w ręku i w towarzystwie woźnego, zdobywali często nie bez rozlewu krwi dobra przysądzone żałującemu, które woźny legalnie tradował lub w possessyę oddawał. Taka exekucja zbrojna dekretu nazywała się zajazdem. — W dawnych czasach, póki szanowano prawa, najmożniejsi panowie nie śmieli się opierać wyrokom, rzadko zdarzały się zbrojne napaści, a gwałt prawie nigdy

nie uszedł bezkarnie. Wiadomy z dziejów smutny koniec księcia Wasila Sanguszki i Stadnickiego zwanego djabłem. — Zepsucie publicznych obyczajów Rzeczypospolitéj namnożyło zajazdów, które ciągle mieszały spokojność Litwy.

Str. 7, w. 5. Panno Święta, co jasnėj bronisz Częstochowy
I w Ostréj świecisz Bramie.

Wszyscy w Polszcze wiedzą o obrazie cudownym N. P. na jasnéj górze w Częstochowie. W Litwie słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiéj w Wilnie, Zamkowéj w Nowogródku, tudzież Żyrowiekiéj i Boruńskiéj.

Str. 13, w. 20. Nim się Pan Wojski ubierze.

Wojski (tribunus) bywał niegdyś z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Od dawnego czasu urząd ten bez obowiązków stał się tytularnym. W Litwie jest zwyczajem, iż Osobom poważnym, nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny, który używaniem uprawnia się. Mianują naprzykład sąsiedzi przyjaciela swego Oboźnym, Stolnikiem lub Podczaszym, z razu w rozmowie tylko i w korrespondencyi, a następnie nawet w aktach urzędowych. Rząd Rossyjski zabraniał podobnych tytułów, i pragnąłby je śmiesznością okryć a wyprowa-

dzić na ich miejsce, tytułowanie podług rang swojéj hierarchji, do któréj Litwini dotąd wielki wstręt mają.

Str. 13, w. 19. . . . . Ale nie myśl wcale,
Aby w domu Sędziego służono niedbale.

Rząd Rossyjski nigdy w krajach zdobytych nie obala od razu praw i instytucji cywilnych, ale je powoli ukazami podkopuje i rostacza. W Małorossyi na przykład, utrzymano aż do ostatnich czasów Statut Litewski, ukazami odmieniony. Litwie zostawiono całe dawne urządzenie Sądów cywilnych i kryminalnych. Obierani więc są po dawnemu Sędziowie ziemscy i grodzcy w powiatach, i Sędziowie główni w guberniach. Ale że appellacya idzie do Petersburga do mnogich różnego stopnia instancji, przy sądach więc miejscowych, ledwie pozostał cień dawnéj powagi tradycyjnéj.

Str. 15, w. 1. Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.

Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity i poważny, Princeps Nobilitalis, za rządu Rossyjskiego stał tylko tytularnym. Sądził jeszcze niekiedy sprawy graniczne, ale nakoniec i tę część jurysdykcji utracił. Teraz zastępuje czasem Marszałka, i mianuje Komorników czyli mierniczych powiatowych.

Str. 18, w. 1. Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni.

Woźny albo jenerał, wybrany uchwałą trzybunalską lub sądową ze szlachty osiadłéj, roznosił pozwy, ogłaszał intromissye, robił wizye, przywoływał aktoraty etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała.

Str. 26, w. 1. Biegali za nim wszyscy jakby za rarogiem.

Raróg, ptak z gatunku jastrzębia. Wiadomo że za jastrzębiami drobne ptastwo szczególnie jaskułki, tłumnie upędzają się. Stąd przysłowie: latać jak za rarogiem.

Str. 29, w. 17. ..... Że Bonapart czarował.

Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rossyjskim o czarach Bonapartego i Suwarowa.

Str. 31, w. 18. Assessora z Rejentem wzmogła się uparta.

Assessorowie składają policją ziemską powiatu. Wedle ukazów czasem bywają obierani przez obywateli, czasem naznaczani od Rządu; ci ostatni zowią się koronni. Sędziowie appellacyjni zowią się także Assessorami, ale tu nie o nich mowa.

Rejenci aktowi zarządzają kancellarją, dekretowi piszą wyroki, wszyscy zaś mianowani z ręki Pisarzów sądowych.

Str. 40, w. 15. Coby Rzekł Wojewoda Niesiołowski stary.

Józef hrabia Niesiołowski, ostatni Wojewoda Nowogrodzki, był prezesem Rządu rewolucyjnego w czasie powstania Jasińskiego.

Str. 40, w. 21. Białopiotrowiczowi samemu odmówił.

Jerzy Białopiotrowicz ostatatni pisarz W. X. Litewskiego, czynnie należał do powstania Litwy pod Jasińskim. Sądził więźniów stanu w Wilnie. Mąż dla cnot i patryotyzmu bardzo szanowany w Litwie.

Str. 43, w. 4. Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity.

W Słucku sławna była fabryka złotogłowu i pasów litych na całą Polskę; udoskonalona staraniem Tyzenhauza.

Str. 44, w. 3. Była to trybunalska wokanda...

Wokanda, wąska podługowata książeczka, na któréj spisywano nazwiska stron processujących wedle

porządku aktoratów. Każdy Adwokat i Woźny musiał mieć takową wokandę.

Str. 46, w. 6. Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Jenerał Kniaziewicz, wysłany przez armią włoską, złożył Dyrektorjatowi zdobyte chorągwie.

Str. 46, w. 7. Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie.

Książe Jabłonowski, dowodzący Legią Naddunajską, umarł w Saint Domingo, i cała prawie legia tam zginęła. W Emigracji jest kilku Weteranów pozostałych z owéj nieszczęśnéj wyprawy, między innymi Jenerał Małachowski.

Str. 61, w. 13. I w organ i w rozliczne instrumenty grała.

W dawnych zamkach stawiano na chorach organ.

Str. 63, w. 20. I czarną mu polewkę do stołu podano.

Czarna polewka podana u stołu paniczowi starającemu się o rękę panny, oznaczała rekuzę.

Str. 73, w. 8. Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku.

Wiciny są to wielkie statki na Niemnie, któremi

Litwini prowadzą handel s Prussami, spławiając zboża, i biorąc wzamian za nie towary kolonialne.

Str. 87, w. 1. Książe Dominik, kiedym z nim razem polował.

Ks. Dominik Radziwiłł, wielki miłośnik polowania, — emigrował do Księstwa Warszawskiego, i wystawił własnym kosztem pułk jazdy, którym dowodził. Umarł we Francyi. Na nim zgasła linia męska Książąt na Ołyce i Nieświeżu, największych Panów w Polszcze i zapewne w Europie.

Str. 87, w. 3. ... z Jenerałem Mejenem.

Mejen odznaczył się w wojnie Narodowéj za Ko ciuszki. Dotąd pokazują pod Wilnem okopy Mejenowskie.

Str. 103, w. 9. Panienki za wysmukłym gonią borowikiem.
Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.

Znajoma w Litwie pieśń gminna, o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą borowika. W téj pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

Str. 118, w. 17. Nasz malarz Orłowski. . .

Znany malarz rodzajowy; na kilka lat przed

śmiercią malować zaczął pejzaże. Umarł, niedawno w Petersburgu.

Str. 124, w. 3. ..... Dwie Pijawki,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Srabczyną.

Rodzaj psów angielskich, małych i silnych, zwanych pijawkami, służy do łowów na wielkiego zwierza, szczególniéj niedźwiedzia.

Sprawnik czyli kapitan Sprawnik, naczelnik Policji Ziemskiéj — Strabczy, rodzaj Prokurora rządowego. Urzędnicy ci mając często sposobność nadużywania władzy, w wielkiém są obrzydzeniu u obywateli.

Str. 130, w. 3. Ukołysany marzył o wilku żelaznym.

Podług tradycji, wielki Książe Gedymin miał sen na górze Ponarskiéj o wilku żelaznym, i za radą Wajdeloty Lizdejki założył miasto Wilno.

Str. 130, w. 14. Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy.

Zygmunt August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego, przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

Str. 130, w. 21. Czy żyje wielki Baublis.

W powiecie Rosieńskim w majętności Paszkiewicza Pisarza Ziemskiego, rosł dąb znany pod imieniem Baublisa, niegdyś w czasach pogańskich czczony jak świętość. We wnętrzu tego wygniłego olbrzyma, Paszkiewicz założył gabinet starożytności Litewskich.

Str. 130, w. 24. Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem.

Nie daleko fary Nowogrodzkiéj, rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.

Str. 131, w. 10. . . . . Wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa.

Ob. Poema Goszczyńskiego „Zamek Kaniowski.“

Str. 140, w. 13. Kołomyjek z Halicza.

Kołomyjki, piosenki ruskie w rodzaju mazurów polskich.

Str. 141, w. 3. Znał się dobrze na handlu zbożowym,
Na wicinnym. . .

Ob. przyp. do str. 73, w. 7.

Str. 141, w. 20. Miejsce zwane pokuciem.

Zaszczytne miejsce, gdzie dawniéj stawiano bogów

domowych, gdzie dotąd rossyanie zawieszają obrazy. Tam wieśniak litewski sadza gościa którego chce uczcić.

Str. 152, w. 18. Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi.

Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziéj zakrzywiają się, i nakoniec wierzchnie ostrze zagiąwszy się, dziób zamyka, i ptak z głodu umiérać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy Ornitologowie.

Str. 152, w. 22. Stąd w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Rzeczywiście, nie ma przykładu, aby znaleziono kiedy szkielet zdechłego zwierza.

Str. 160, w. 20. A co fuzyika moja, nie wielka ptaszyna.

Ptaszynki są to strzelby małego kalibru, w które kładzie się drobna kula. Dobrzy strzelcy s takich fuzji ptaka w lot trafiają.

Str. 165, w. 5. Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W butelkach wódki gdańskiéj, bywają na dnie listki złota.

Str. 172, w. 1. . . . Taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał.

Królowa Dydo kazała porznąć na pasy skórę wołową, i tym sposobem zamknęła w obrębie skóry obszerne pole, gdzie wystawiła Kartaginę. Wojski wyczytał opis tego zdarzenia nie w Eneidzie, ale zapewne w Kommentarzach Scholiastów.

Str. 189, w. 22. Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s konopi.

Raz na Sejmie poseł Filip ze wsi dziedzicznéj Konopie, zabrawszy głos, tak dalece odstąpił od materji, że wzbudził śmiech powszechny w Izbie. Stąd urosło przysłowie: wyrwał się jak Filip s konopi.

NB. Niektóre miejsca w pieśni czwartéj są pióra **Stefana Witwickiego.**

Spis Rzeczy.